

NR 44
październik – grudzień
2003

aleje 3

**KWARTALNIK
KULTURALNY
CZĘSTOCHOWY**
ISSN 1427-8812 cena 2 zł



W NUMERZE:

Burszewski o literackich bijatykach * *Chróstowska o „Dziewczętach z Francji”* * *Gieryski o Pustelniku*
* *Piwowski o Jeanie i Julii*



„Piekło – Psalm 20”, „Czarownicy i wróżbici” – drzeworyt Salvadora Dali



SPIS TREŚCI

| | |
|----------------------------|----|
| z miasta | 3 |
| podróże | 7 |
| wywiad | 15 |
| Częstochowskie Dni Książki | 18 |
| obserwacje | 21 |
| poezja | 25 |
| recenzje | 26 |
| proza | 29 |
| notatki z czasu | 34 |
| młode pióra | 35 |
| ze sztuką na ty | 40 |
| film | 41 |
| teatr | 42 |
| fotografia | 46 |
| plastyka | 50 |

aleje 3

KWARTALNIK KULTURALNY CZĘSTOCHOWY
Pismo finansowane przez
Urząd Miasta Częstochowy

WYDAWCA

Biblioteka Publiczna
im. dra Władysława Biegańskiego
w Częstochowie
Aleja Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
kontakt: BOGDAN HENNIG

REDAKCJA

Biblioteka Publiczna
Aleja Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
e-mail: bp-bp@wp.pl bpiwb@wp.pl
tel. 360-56-28

Zespół redakcyjny

KRYSTIAN PIWOWARSKI – redaktor naczelny
SŁAWOMIR BURSZEWSKI – literatura, komiks,
twórczość młodych
ARKADIUSZ ZAJĄC – szata graficzna, okładka,
plastyka, ilustracje

Redakcja tekstów:

ANNA WOLAŃSKA (strony) od 10–17, 19, 20,
22, 23, 34–39, 45–50
MIROSŁAW ŁAPOT (strony) od 3–10, 19,
21–33, 40–44

Redakcja techniczna, skład, łamanie, korekta, druk
DRUKARNIA CZĘSTOCHOWSKIE
ZAKŁADY GRAFICZNE SA

Redakcja zastrzega sobie prawo do skrótów i opracowania
redakcyjnego materiałów przyjętych do druku.

INFORMATOR

- V Triennale Sztuki „SACRUM”
– 27.10. – 23.12.2003
- „Święto Muzyki” – 22.11.2003
- Festyn Sylwestrowy – 31.12.2003

DALI

W sierpniu br. w Muzeum Częstochowskim mogliśmy oglądać interesującą wystawę grafik Salvadore Dali ilustrujących „Boską komedię” Dantego.

Pan Jakub Lep, historyk sztuki reprezentujący firmę Lep Consulting, poprzez Internet zwrócił się do Muzeum z propozycją zorganizowania ekspozycji. Grafiki zaprezentowano w piwnicach Ratusza, które uznano za wnętrza najbardziej odpowiadające klimatem i nastrójem tematyce prac. Powstały one, gdy w roku 1950 Dali otrzymał od rządu włoskiego zlecenie na wykonanie ilustracji do jubileuszowego wydania „Boskiej komedii”. Artysta wykonał 100 akwareli, z których 99 stanowiło ilustracje do 99 pieśni, a jedna, otwierająca, przedstawia Dantego wkraczającego do piekieł.



Prezentowane na wystawie prace nie były jednak oryginalnymi akwarelami, lecz dziełem dwóch drzeworytników, którzy wykonali je pod nadzorem Salvadore Dali. Grafiki są przez niego sygnowane. (aw)



TASOWANIE PRASY

Częstochowski rynek prasowy przeszedł kilka zmian. W miejsce upadłego wiosną „Życia Częstochowy”, latem zaczęło się ukazywać „Życie Częstochowskie”, do złudzenia przypominające poprzedni tytuł, redagowane w większości przez po-

przednią ekipę (redaktorem naczelnym została Bożena Więckowska). Na razie ukazuje się trzy razy w tygodniu, docelowo będzie to dziennik. Małą schizmę przeżyła „Gazeta Częstochowska”, gdyż część jej redakcji odeszła i założyła tygodnik „Kulisy Regionu”. Ciekawostką jest wkładka retro Janusza Pawlikowskiego z ogłoszeniami sprzed stu lat. Jak widać, miejscowi żurnaliści to ludek ruchliwy i przedsiębiorczy i żadne krachy i recesje im nie straszne.

DYREKTORIAT

Czerwiec był miesiącem zmiany na stanowisku dyrektora Teatru im. A. Mickiewicza. Dotychczasowy dyrektor – znany aktor serialowy Marek Perepeczko – został odwołany przez prezydenta Tadeusza Wroneń, popartego przez Radę Kultury, a na jego miejsce powołano Katarzynę Deszcz – krakowską reżyserkę, znaną u nas z realizacji spektaklu „Rzecz o św. Franciszku” podczas ubiegłorocznej edycji festiwalu „Gaude Mater”. Podstawowym zarzutem stawianym „Janosikowi” był mało ambitny repertuar. Jednak jako aktor Perepeczko będzie grał jeszcze w spektaklach „Rewizor” i „Dwie morgi utrapienia”. Jego kadencję będziemy pamiętać, patrząc na odnowiony budynek teatru („zastał odrapany, zostawił otynkowany”).

Nowym dyrektorem został też Przemysław Lasota, dotychczasowy prezenter „Radia C.96,6 FM Złote Przeboje”, który objął to stanowisko po zmarłym w styczniu Stanisławie Podobińskim. Nowy dyrektor zapowiada, że będzie kontynuował działania swojego poprzednika, lecz nie będzie to łatwe zadanie, biorąc pod uwagę rozległość kontaktów i wiedzy Staszka.

ZAGRANICZNE WOJAŻE

Lato jest okresem, kiedy większość ludzi podróżuje po świecie. Podróżowali też artyści, i to daleko. Częstochowscy filharmonicy wyruszyli na dwutygodniowe tournée po

Korei Południowej. Zagrali 10 koncertów w największych miastach, a po powrocie wspólnie z kolegami z Korei zakończyli wyprawę Koncertem Nadzwyczajnym w Częstochowie. Po dobrym przyjęciu w Azji liczą na kolejne wyjazdy.

Tomasz Sętowski pojechał ze swoimi obrazami do Las Vegas, gdzie uczestniczył w międzynarodowej wystawie sztuki erotycznej „Erotic Art Exhibition” w hotelu „Aladdin”. Swój występ zatytułował

„Senti – One Man Show”, ponieważ malował jak zwykle obrazy na żywo przed publicznością. Swoje prace w Vegas pokazał także Piotr Dłubak, jako jedyny fotografik spoza Ameryki. W tym miejscu warto zareklamować nowy album Sętowskiego „Muzeum wyobraźni” (wydawnictwo „Muza”) oraz Dłubaka „Aura” (wydany przez Miejską Galerię Sztuki w Częstochowie).

W Waszyngtonie przebywali reprezentanci Zespołu Szkół Pla-



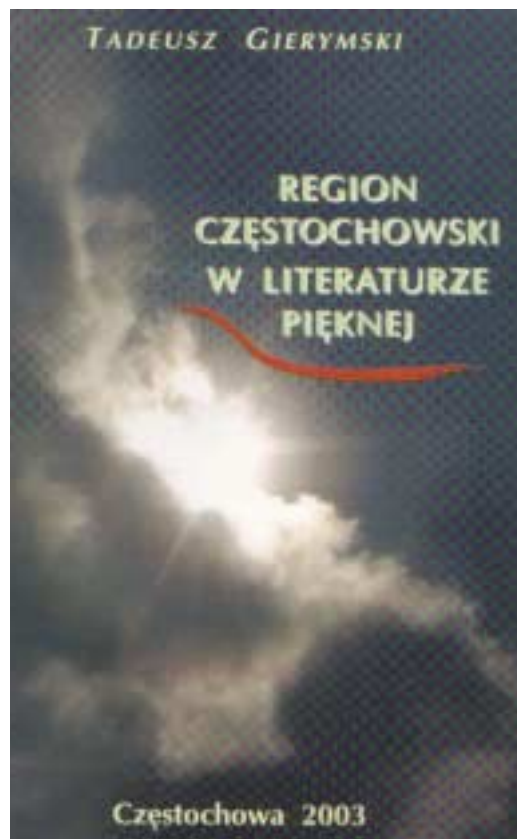
stycznych z Częstochowy. Zaproszeni przez Torpedo Factory Art Center, wystawiali prace ceramiczne i jubilerskie uczniów, które w większości zostały sprzedane. Dzięki nawiązanym kontaktom do Częstochowy przyjadą amerykańscy rzeźbiarze, a kolejna wystawa prac zdolnych uczniów odbędzie się prawdopodobnie w Nevin Kelly Gallery w Waszyngtonie. Jako reprezentacja Polski popularny „plastyk” spisał się wybornie.

Kanadę podbijał Rzemieślniczy Chór Męski „Pochodnia”. W ciągu 16 dni dał 18 koncertów, m.in. na festiwalu „Folklorama”, organizowanym przez Kongres Polonii kanadyjskiej. Częstochowianie zostali zaproszeni przez zespół „Sokół” z Winnipeg, który przed rokiem koncertował w naszym mieście.

MUZYCZNE PRZYJEMNOŚCI

Poprzedni sezon Filharmonia Częstochowska zakończyła wydarzeniem-spektaklem „Carmina Burana”. Średniowiecznym pieśniom, do których muzykę ułożył Carl Orff, taneczną aranżację dodali członkowie Zespołu Pieśni i Tańca „Częstochowa”. Całość wypadła bardzo interesująco.

Ratuszowe piwnice odwiedził Jan „Ptaszyn” Wróblewski wraz z muzykami: R. Twarożkiem, A. Skolikiem, W. Puszkiem. Zespół grał znane i zapomniane utwory Krzysztofa Komedy i Jana „Ptaszyna”.



nej”, zalecaną jako pomoc w nauce języka polskiego w miejscowych szkołach. Praca opatrzona wieloma przypisami rozjaśnia trochę mroki dziejów nad naszym regionem. Autor podaje wiele ciekawostek literacko-historycznych, o których milczą podręczniki, a częstochowianie powinni wiedzieć. Niestety, nad literaturą rodem spod Jasnej Góry ciąży klątwa – potoczny rym częstochowski – synonim grafomanii i złego smaku, który często przeszkadza i dyskwalifikuje miejscowych twórców, przyklejając im paskudną etykietkę. Skąd się wzięły „kadencje” częstochowskie – o tym w ostatnim rozdziale. Gierymski dzieli książkę chronologicznie i regionalnie. Poszczególnym wydarzeniom (np. oblężenie klasztoru, konfederacja barska) lub regionom (Olsztyn, Złoty Potok) przyporządkowuje piśmiennictwo na ten temat. Rozlegle opisuje okres XV – XIX wieku, streszczając – niestety, tylko kilkoma zdawkowymi zdaniami – wiek XX i historię najnowszą,

a mógłby się pokusić o syntezę ostatniego stulecia, gdyż mamy je już za sobą. U pana Tadeusza opowieść kończy się na roku 1950 (głęboki socrealizm), bo prawdopodobnie wtedy ta praca powstała. Być może kontynuację pozostawia swoim następcom.

CZKAFFKA

Dawno w Częstochowie nie było nowego art.-zina. Trochę ta forma wydawnicza zanika przy mocnej konkurencji e-zinów, lecz są jeszcze pasjonaci, którym coś chce się robić na papierze. „Czkafka” to gazetka komiksowa kilku młodych ludzi: G. Nity, A. Kozy, M. Wojciechowskiego, M. Miszty, D. Palucha i W. Kumoraka, którzy prezentują tu swoje prace na całkiem przyzwoitym poziomie. Obok „shortów” są też długie, wieloodcinkowe historie fabularne („Ostatni biskup”, „Zew Clozethu”, „Nowe przygody pana Michała”), krótkie opowiadania Piotra Nity oraz żarty rysunkowe. Do

W MDK grał hip-hopowy „3Miel”, czyli Jacek Jabłoński z Poznania, który próbuje wyznaczyć nowe drogi tego gatunku w Polsce. Głosi bowiem przez muzykę ulicy... ewangelię. Tego jeszcze nie było w świecie raperów, choć sytuacja jakby znana („2TM”).

Latem miejscowi hopowcy wydali płytę „Mentalnie”. Drugi krążek grupy „Ideo” (Dziki, DJ Haem, Igor i Czubass) zawiera 17 przeładowanych ideami utworów i jest nieco dojrzałszy od poprzedniego, lepiej zgrany (wyd. „Gigant Record”). „Ideo” to trochę już legenda miejscowej sceny, pamiętająca początki tego nurtu w Polsce.

CZENSTOCHOVIANA

Regionalny Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli „WOM” w Częstochowie wydał interesującą książkę Tadeusza Gierymskiego (która to już w ostatnich latach?) pt. „Region Częstochowski w literaturze pięk-



fot. Zbigniew Burda: „Carmina Burana”

tej pory ukazały się od jesieni ub. roku trzy numery (w przygotowaniu czwarty), sprzedawane na imprezach komiksowych i science fiction, bo z tym środowiskiem związani są autorzy. Oprócz rysowania zajmują się studiowaniem i kręceniem krótkometrażowych filmów, głównie parodii fantasy („Legenda Pięciu Mendów”, „Banzai”, „Banzai 2”). Więcej o „Czkafce” na www.czkaFka.prv.pl.

NAGRODY PREZYDENTA MIASTA DLA TWÓRCÓW I MECENASÓW KULTURY

Plastyka
Stanisław Markowski

Teatr
Czesława Monczka

Literatura i historia
Tadeusz Andrzej Szymba

Muzyka
Zygmunt Staszczuk

Ochrona i promocja kultury
Urszula Brylewska

Mecenas Kultury
ING Bank Śląski S.A.

#3
cena:
4,00 PLN

• CzkaFka •
da family komiks magazine

Ostatni
Biskup

Zew
Clozethu

Nowe
przygody
Pana
Michała

Banzai
preludium



**36 STRON!
LIVING LARGE!**

ZAWIERA
UZASADNIONE
PRZEKLEŃSTWA

INNE NAGRODY

Paweł Wróblewski – Złota Muszla na VII Przeglądzie Fotografii Krajów Nadbałtyckich w Koszalinie

Arkadiusz Frania – wyróżnienie na ogólnopolskim konkursie literackim „Podróż Poetycka” zorganizowanym przez miesięcznik „Ex Libris 43 bis”

DNI CZĘSTOCHOWY

W dniach 26 – 31 sierpnia odbyły się tradycyjne już XI Dni Częstochowy. W ciągu pięciu dni częstochowianie mogli świętować podczas koncertów (m.in. „Ptaszyńska”, „Raz, Dwa, Trzy”, „Formacja Nieżywych Schabuff”), spektakli (Teatr Wojtka Kołsuta – „Życie według Vincenta” i kabaret „StuFka”), wernisaży („Częstochowskie Ry(t)my” J. Łydzby i S. Parafiniaka oraz „Art.– Moto” E. Janus-Chodorowskiej), imprez dla dzieci (koncert grupy „Debiuty”, spektakl „Kukuruku”) i zawodów sportowych. Ozdobą był XIX Częstochowski Rajd Pojazdów Zabytkowych. Zawiedzeni mogli być fani jazzu, ponieważ piątkowy koncert przerwała gwałtowna burza. (sb)

BUSZUJĄCY W KRZAKACH

Mateusz Szkop

To było już ostatnie spojrzenie za siebie. Stałem na granicy rumuńsko-węgierskiej: po lewej i prawej stronie roztaczał się ten sam krajobraz. Kolejki samochodów, blaszane, przydrożne kantory, tanie bary i smażalnie. Nawet pola były takie same i niebo ścięte tym samym, zachodzącym słońcem. Przez dobrą godzinę nie mogłem złapać stopa i ściemniło się już całkowicie. Zacząłem tracić nadzieję. Światła samochodów oświetlały mnie raz po raz, już nie pamiętam dokładnie, które przeświectliły mnie na wylot. A może to ja w akcie desperacji wyskoczyłem na ulicę, zatrzymując ruch? Nieważne. Następnego dnia z samego rana byłem już w Hajdúszoboszló.

Po „królewskim” śniadaniu, które od miesiąca dzień w dzień wyglądało mniej więcej tak samo – chleb z pasztetem i żółtym serem, wrzuciłem na siebie plecak. Ze względu na jego rozmiary w podróży czułem się całkiem bezpiecznie, wyglądał jak niesiony na plecach zmęczony przyjaciel. Doczołgaliśmy się więc razem do deptaka. Mimo dosyć wczesnej godziny słońce piekło rozkładających swój kramik straganiarzy i plastikowe krzesła knajpek, wdzierających się w głąb ulicy kolorowymi parasolami. Uległem pokusie zimnego piwa. A poza tym musiałem na spokojnie przeliczyć i tak już kończące się pieniądze.

Nie było za wesoło. W zasadzie zostało mi ich w sam raz na pociąg powrotny do Polski. Ale taki sposób komunikacji podczas tych wakacji w ogóle nie wchodził w grę. A poza tym nie czułem potrzeby powrotu. Wręcz przeciwnie – chciałem uciekać jeszcze szybciej i jeszcze dalej, jak gdybym wzniecał za plecami ogień, trawiący wszelki grunt. Jak gdyby jakaś zbrojna ofensywa, wymierzona we mnie, zajęła swoim uderzeniem kolejną wioskę, którą opuściłem, i teraz czai się w niej, odpowiada na wołania ogniem artylerii i zbiera resztki sił. A ja, zamiast stanąć do walki, przesuвам w nieskończoność linię frontu.

Sfrustrowany brakiem funduszy zamówiłem następne piwo. A co tam, pomyślałem, pozwolę sobie, zasłużyłem. Być może rozjuszony nową siłą i optymistycznym tchnieniem w stylu „jakoś to będzie”, postanowiłem zostać w Hajdúszoboszló na parę dni i podjąć walkę twarzą w twarz z pościgiem, podjąć wreszcie

na tej pustej szachownicy obcego króla i powiedzieć mu wolno i z emfazą „mat”, skorzystać z tutejszych przepięknych basenów z podgrzewaną wodą i popatrzeć na dziewczyny. Słowem – znowu poczuć się jak normalny człowiek, a nie uciekinier.

Wokół powoli przybywało ludzi. Plastikowe krzeselka wypełniały się spragnionymi turystami, co niektórzy zamawiali śniadanie, spotkałem nawet kilku szczęśliwych Polaków, śmieli się głośno, jedli kielbaski. Stragany, obrzucone kolorowymi duperelami jak afrykańskie autobusy tobołkami, ugięły się pod ciężarem tandety i kiczu. Bazując na konsumpcyjnej mitologii człowieka, rozgrzebywały w nim poczucie niewytlumaczalnej odpowiedzialności za przeszłość i rozliczenia się z niej, najlepiej za pomocą tych kolorowych papierków tkwiących w portfelu. Niemcy, o oczach nieskazitelnych jak niebo, wąsaci Polacy, wędrowni Romowie i bratanki Węgrzy.

Mimo południowej pory miasteczko ogarnął pęd do zabawy i oczyszczenia. Mnie również się udzieliło. Przy następnym piwie wpadłem, jak mi się wtedy wydawało, na genialny pomysł. Postanowiłem, trzymając rękę na sarkwie, spędzać noce w krzakach za miasteczkiem. Wiązało się to i z oszczędzaniem, i z problemem niewygodnego bagażu. Jakoś się tam urządzię, pomyślałem sobie, nieraz już się spało w mniej komfortowych warunkach. Dopitem piwo, sięgnąłem po plecak i jak postanowiłem, tak zrobiłem – poczłapałem za miasto.

Jeszcze tego samego dnia, kiedy słońce przybrało łagodniejszy, pomarańczowy odcień, wróciłem na deptak. Moje nowe koczowisko znajdowało się zaledwie dziesięć minut drogi od centrum, za kompleksem basenów w małej między oddzielającej pola. Sprawdziłem, czy teren nie jest czasem okupowany przez mrówki albo inne upierdliwe insekty, po czym zniknąłem w wysokiej trawie, podziwiając roztańczające się po lewej i prawej stronie krzaczyska. Ich nazwa była mi zupełnie obojętna. Plecak przykryłem sprytnie zerwanymi gałęziami tak, że dla niewtajemniczonego oka był nie do wykrycia. Wreszcie mogłem się położyć i rozkoszować sjeścią. Przez chwilę ogarnął mnie strach. Pomyślałem, że przecież ktoś mógł mnie obserwować. Jakiś człowiek zmierzający

Jacek Łydźba
„Częstochowa – Kwitnące
drzewo głogu”



z przeogromnym plecakiem prosto w pole – taki widok dla okolicznych mieszkańców to prawdziwe zburzenie ich dotychczasowej harmonii i ładu. Poczuję się jak Baumanowski obcy z „Wieloznaczności nowoczesnej”. Rozmyślając o tej książce, zapadłem w sen.

Teraz znowu jestem na głównym deptaku. Spaceruję. Stragany, wata cukrowa, jacyś chłopcy tańczą breakdance, ktoś prosi mnie o pamiątkową fotkę. Zawieszam wzrok, tak jakbym spoglądał w bezkres oceanu, i dryfuję dalej. Przypominam sobie, jak będąc dzieckiem, kupiłem na jednym ze stoisk – ha! być może nawet na tym! – metalowy, okrągły wiśiorek. Jacyś Majowie albo Aztekowie odprawiali na nim zakrapiane krwią rytuały, a wokół, przy krawędzi wygrawerowano jakieś tajemnicze symbole. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że pochodziły z zupełnie innej kultury, chyba starożytnego Egiptu. Ale cóż! – liczył się przecież sam gest. No i fakt, iż przez kilka lat bez przerwy nosiłem go na szyi, że zawędrował aż do Holandii i Anglii i – niczym Papież – wyrażał idee nowoczesnej, uniwersalnej kultury.

To ty Mateusz!?! – usłyszałem przy akompaniamencie tysiąca innych głosów, pisków i krzyków. Kątem oka spostrzegłem dwie dziewczyny. Poczuję się, jakbym wychodził z ciemnej, głębokiej jaskini, a światło dzienne oszołomiło mnie.

Na zadane pytanie odpowiedziałem grzecznościowo, że tak, owszem, i dopiero siedząc przy stoliku w knajpie, przypomniałem sobie, z kim mam do czynienia. Imion nie pamiętałem za cholere, ale sytuację jak najbardziej; w końcu była to jakaś przełomowa w moim życiu chwila – egzaminy na studia, i to całkiem niedawno, bo ze dwa miesiące temu.

Dziewczyny wróciły z baru niosąc butelki z piwem. Zaraz obok naszego stolika dudniła w podskokach udeptana ziemia, służąca młodym ludziom za parkiet. Muzyka techno zmieniała bicie naszego serca z dwóch na cztery takty, ingerując w nie niczym zegarmistrz w tryby zegarka. Trzeba było kiwać głową w przód i w tył, zgodnie z nowym rytmem, żeby nie dostać arytmii. Przekrzykiwaliśmy się nawzajem:

Kiedy przyjechałeś? – Dzisiaj, a wy? – Wczoraj. Śpimy na kwaterach, a ty? – Ja też! – A z kim? – Z jakimiś Polakami. Poznałem ich tutaj. – Przyjechałeś tu sam?

Tego pierwszego wieczora, podobnie jak i w następne, gdyż od tej pory czas spędzaliśmy razem, za każdym razem, gdy próbowa-

łem nie tyle pochwalić się, co po prostu powiedzieć komuś o rzeczach i krajach, jakie widziałem podczas miesięcznej tułaczki stopem, dziewczyny szybko zmieniały temat lub wpatrywały się tępym wzrokiem, dając mi do zrozumienia, że nie mają ochoty słuchać moich wymysłów. Po prostu nie uwierzyły mi. Dla nich, jak i dla innych ludzi, którzy przyjechali samochodami lub autokarem z wcześniej zarezerwowanym noclegiem, takie rzeczy były chyba nie do pomyślenia. Tak samo jak nie do pomyślenia były wymyślone naprędce historie o miejscu mojego noclegu. Tu skłamałem, przynaję się. Ale przecież nie mogłem im powiedzieć, że urządziłem się w krzakach. Nie przełknęły historii o Polakach, których poznałem w Hajdúszoboszló, a którym brakowało jednej osoby do wynajęcia domku, więc co dopiero krzaki! Zresztą były przekonane, że przyjechałem tu z rodzicami, a nasze spotkanie jest wynikiem młodzieńczego samopasu, na który sobie pozwoliłem.

Kilka następnych dni wyglądało mniej więcej tak samo: rankiem spotykałem się z dziewczynami przy basenie olimpijskim, pływaliliśmy, odpoczywaliśmy, popychaliśmy pierdoły. Wieczorem spotykaliśmy się w knajpie, piliśmy, tańczyliśmy, rozmawialiśmy. Kiedy wreszcie zmęczenie i pijaństwo odbierało nam ochotę na dalsze, wspólne pogaduszki, znajome ulatniały się na swoją kwaterę. Ja zamawiałem jeszcze jedno piwko i odpowiednio przygotowany psychicznie, a zazwyczaj była to któraś tam godzina nad ranem, zmierzałem w swoje krzaki. Szczęśliwy z obecności plecaka, klepałem go ręką po kieszeniach niczym wiernego psa, wyciągałem śpiwór i szybko zapadałem w twarde sen.

Prowadzone w ten sposób podwójne życie byłoby całkiem do zniesienia, gdyby nie komary. Nad ranem urządziły sobie na mnie małą rzeź. Musiałem później tłumaczyć przed dziewczynami swoją pogryzioną twarz roztargnieniem, przez które zapomniałem na noc zamknąć w pokoju okno. Brzydziło mnie to kłamanie, ale zabrnąłem w nie już zbyt daleko, by móc zawrócić. A poza tym przyznanie się do niego utwierdziłoby je w przekonaniu, że moja miesięczna podróż stopem po Ukrainie i Rumunii, w wyniku której tu przybyłem, również jest wyssana z palca.

Przebywając z nimi, brzydziłem się więc tego mojego drugiego życia, prowadzonego w krzakach, a przebywając w krzakach, brzydziłem się przebywania z nimi. Razu pewnego

już nie wytrzymałem. Za namową dziewczyn wziętem plecak i usiadłem na ławeczce przy głównym deptaku. Tak podobnie można było znaleźć tanią kwatere. A co mi tam, myślałem, spędzę przynajmniej jedną noc porządnie i kieruję się w stronę domu.

Umówiłem się z przyjaciółkami wieczorem w knajpie, z zamiarem wygarnięcia im całej prawdy i uzyskania przez to ich przychylności.

Siedziałem i czekałem przez ładnych parę godzin, a przynajmniej tak mi się wydawało, bez pożądanych rezultatów. Nikt mi żadnej taniej kwatery nie chciał zaproponować. Zacząłem zastanawiać się, dlaczego? Omal nie popadając w kompleksy i jakoś tak odruchowo, tak jak wszystko się staje, wpadłem na pomysł. Wrzuciłem na siebie swojego zmęczonego przyjaciela i udałem się na stację, gdzie za ostatnie pieniądze kupiłem bilet do Budapesztu.

KEINE GRENZEN

S. Burszewski

W Berlinie ostatni raz byłem dwa lata przed zburzeniem muru. Oglądałem wówczas jego wschodnią część, tę enerdowską, którą zarządzał reżim Honeckera. Pamiętałem wieżę telewizyjną i zegar „Urania”, który pokazywał czas każdej części świata, Alexanderplatz i bariery przed Bramą Brandenburską, Wyspę Muzeów i tajną policję Stasi, łąpiącą polskich handlarzy na bazarach. Jak na nasze warunki i polską beznadziejność miasto mi się podobało, bo nawet do niego było nam daleko. Wybierając się w kilkudniową podróż, chciałem zobaczyć, co zostało po kilkunastu latach z moich prakomunistycznych wspomnień. Nie, żebym miał jakiś sentyment. Wcale nie.

Na miejscu okazało się, że zostało niewiele. Z trudem rozpoznawałem charakterystyczne miejsca. Niemcy skrzętnie pozacierali ślady Republiki Demokratycznej. „Okres wypaczeń” zostawił gdzieś paskudne ślady. Na przykład w centrum stoi ogromny blaszany barak, postawiony przez nastawionych antyklasowo komunistów w miejscu zburzonego pałacu, jako świadectwo głupoty i barbarzyństwa poprzednich władz. Stoi pusty, straszy brzydotą, przypomina „Megasam” albo „Puchatka”. Ile u nas jeszcze sterczy takich budynków?

Z Berlina postanowiono uczynić pierwszorzędną stolicę silnego i bogatego kraju w centrum Europy. Burzy się starą zabudowę w centrum, w jej miejsce stawia się supernowoczesne dzielnice. Miasto przypomina ogromny

plac budowy, w niebo strzelają ramiona dźwigów, wszędzie coś się remontuje, odnawia, buduje. Nie panuje w tym żaden chaos. Nowe budowle harmonijnie się komponują z zabytkową architekturą, mimo ton szkła i stali można dostrzec genialną myśl planistyczną, która czuwa nad całością. Obok „nowojorskiego” „Sony Center” płyną strumienie, w stawach pływają złote karpie. Ma się wrażenie, że zaprojektowano miasto w ten sposób, żeby z każdego miejsca, z każdej perspektywy odkrywać coś nowego, ulotnego. Detale, zaułki, łamania ścian, placyki – cokolwiek. Rozbierano także dobre budynki, po to żeby w ich miejsce postawić jeszcze lepsze (niemiecka mania budowania). Niemcy chcą przywrócić miastu wspałość z dawnych czasów, uczynić z niego symbol zjednoczenia kraju. Sęk w tym, że Berlin zawsze był miastem robotniczym i dochodziło w nim do rewolt i buntów społecznych. To właśnie tu przegrali I wojnę światową. Dlatego berlińczycy głośno przeklinają, kiedy widzą, jak kanclerz za ich wysokie podatki buduje dzielnicę rządową, przypominającą elektrownię atomową. W tej części rozmach jest szczególnie ogromny. Dla oficjeli powstaje nawet nowy dworzec kolejowy (w formie szklanego tunelu). Z kopuły Reichstagu (tak tu pasuje jak piramida w Luwrze) turyści podziwiają panoramę miasta, w powietrzu unoszą się balony i zeppelin... Zaletą aglomeracji jest świetnie zorganizowana komunikacja. Rozwinięta sieć metra dociera wszędzie, a podróżowanie po rozległych dzielnicach (880 km kw.) to przyjemność. Miejscowe kolejki jeżdżą bezszmerowo, tak że pasażerowie mogą spokojnie czytać grube książki. Autobusy i tramwaje to tutaj przeżytek.

Przewodniki opisują Berlin jako miasto niezbyt piękne, ale charakterne (niedźwiedz brunatny w herbie). Jest w tym trochę racji, bo tradycyjna architektura jest dosyć ciężka, monumentalna, miejscami przytłaczająca. Neobarokowe, masywne gmachy z kolumnadami w dużym zagęszczeniu męczą. Wystarczy jednak pojechać kolejką do pobliskiego Poczdamu (gdzie to się alianci po wojnie układali), by zobaczyć zupełnie inny styl: pruski klasycyzm. Jaskrawo kolorowy (nie brunatny), lekki, wesoły, trochę bajkowy. Niemcy w ubiegłym roku obchodzili 500-lecie powstania państwa pruskiego (dla nas to niemęła rocznica) i rozliczali się z jego tradycją. Przy okazji odrestaurowano wilhelmińsko-fryderykowski pałacyki, zamki, ogrody, parki itd. Poczdam sprawia wraże-

nie kiczowatej, nie ruszonej przez zamiecie historii krainy zapomnienia. Berlin natomiast aż kipi od pomników historii najnowszej. Zburzona do połowy katedra – miejsce pamięci, przypomina o dramacie z 1945 roku. Miasto po zdobyciu przez Sowieców wyglądało jak nasza stolica po Powstaniu Warszawskim. W punkcie Zero – miejscu, gdzie stał mur, dziś jest tylko budka strażnicza z wielkim zdjęciem Iwana w mundurze (mundur można sobie kupić na jarmarku kilka metrów dalej). Mur był tworem tak absurdalnym, że aż trudno to sobie wyobrazić. W Muzeum Muru zgromadzono bogatą dokumentację jego istnienia i nielegalnego przekraczania. Myśl wynalazcza nie zna granic! Dzielenie kamienic na pół, kratowanie okien od strony zachodniej tworzyły mit tej nienaturalnej enklawy, jaką był Berlin Zachodni – przez długie lata mekka artystów całego świata, polityków (Kennedy, Regan). Dziś zachodnia część została przyćmiona przez postawioną od fundamentów wschodnią. Symbolem teraźniejszości jest ambasada amerykańska, otoczona betonowymi rurami i zasiekami, strzeżona przez transportery i wojsko. Drogi dojazdowe zablokowane. Żadna inna ambasada nie jest oblężona jak forteca. Amerykanie, niegdyś przyjaciele, nie mogą się już czuć tutaj bezpiecznie ani wszędzie indziej poza swoim krajem.

Pod Bramą Brandenburską uprawia się rajdy na tyżworolkach, i jogging... Historia powoli przyska pod bańką beztroski.

Wielonarodową młodzież najłatwiej spotkać nocą w knajpach nad rzeką Sprewą, urządzonych na wzór plaży. W koszach wiklinowych, leżąc na piasku, pod parasolami można wypalić jointa pokoju z przygodnie poznanym Nowozelandczykiem i pogadać o antypodach. Nocą ruch w pubach jest duży i trudno znaleźć wolne miejsce. Obok eleganckich i drogich dzielnic jest też sławny Kreuzberg, powoli wykupywany przez „kapi-

talistów”. Zanim się wyniosą ze squatów ich nielegalni mieszkańcy – wszelkiego rodzaju odszczepieńcy, punki, anarchiści, antyglobaliści – trochę jeszcze narozrabiają. Tradycją stały się już bitwy z policją w Noc Walpurgii (30 IV). Na ulicach często gwałtownie interweniuje policja. Chociaż naszpikowane żelastwem subkultury dodają wielkomiejskiego kolorytu, turystom dreszczyku emocji dostarczają wschodniemieccy skini, nastawieni wrogo do wszelkich przyjezdnych. Swoją imprezę mają także fani muzyki techno – lipcową Love Parade. Ogólnie berlińczycy są przyjaźnie nastawieni do Polaków, wielu zatrudnia naszych rodaków, tak że nasza obecność nikogo nie dziwi i nawet łatwiej można się dogadać.

Każde wielkie, kosmopolityczne miasto ma jakiś swój charakterystyczny gadżet, np. Paryż Wieżę Eiffla, Nowy Jork Statuę Wolności, Rzym Koloseum. Pamiątką z Berlina są miniatury trabanta z wybitym na rejestracji rokiem 1989. Wraca do tej plastikowej marki sentyment, podobnie jak do „garbusów” kilka lat temu. Na ulicach jeździ coraz więcej wymalowanych w kwiaty „mydelnic”. Tylko co zrobią Niemcy z ponurymi blokowiskami w peryferyjnych dzielnicach wschodnich, tak podobnych do Warszawy, Sofii, Bratysławy, Bukaresztu, Kijowa i Mińska? Prawdopodobnie zburzą, jak wszystko, i postawią od nowa. Po kilku dniach wróciłem do Azji Zachodniej i przyglądałem się sielsko śpiącym menelom na trawniku przed Pałacem Kultury. Niby „keine Grenzen”, ale dzieli nas jeszcze ogromny mur mentalny. Kto go zburzy?

MÓJ MARSZ DO EUROPY

Sabina Chróstowska

Mój marsz do Europy rozpoczął się z ulicy Kościuszki w Częstochowie dokładnie pół wieku temu. Kończyłam jedenastą klasę w żeńskim liceum im. J. Słowackiego, przygotowywałam się do matury. Moim najbardziej ulubionym przedmiotem był język francuski, którego uczyła nas pani profesor Kuśmierkowa. Nie za wiele można było nauczyć się w ciągu czterech lat na jednej 45-minutowej lekcji w tygodniu. Brakowało słowników, podręczników do gramatyki, jakichkolwiek pomocy lingwistycznych. Wiele lat postugiwałam się podniszczonym i niekompletnym słowniczkiem, który zaczynał się od litery D, a kończył na R. Gramatyka Terchowej była jedyną dostępną pomocą obowiązującą przez kilkanaście lat. „Notre classe



fot. S. Burszewski „Sony Center”

de francais” z okładką w narodowych barwach Francji pamiętam bardzo dobrze. Był to mój pierwszy podręcznik zilustrowany kilkoma szaroburymi zdjęciami Wieży Eiffla, Pól Elizejskich, Łuku Triumfalnego. Mimo tej szarzyzny, zdjęcia miały dla nas jakąś moc magiczną. W zgłębianiu tajemnic kolebki naszej europejskiej cywilizacji miała nam pomagać jedyna dostępna mapa Europy, która wisiała w gabinecie geograficznym pani profesor Mikucińskiej. Na dużej przerwie dopadałyśmy do mapy, wodzyłyśmy palcami szukając Francji, a potem Paryża, tajemniczego wzgórze Saint-Michel nad Atlantykiem i obrosłych historią przeszłości wybrzeży Morza Śródziemnego.

„Zobaczyć te cuda! Zobaczyć ten Paryż!” – wzdychałyśmy z Ewą. „Pospacerować po Polach Elizejskich! Wejść w mroczną katedrę Notre-Dame – może dzwonnik się ukaże. Obejrzyć te cudowne sklepienia na Cherche-du-Midi. Mieć takie szpileczki jak młodzianka wschodząca gwiazdka BB.”

Niestety! Był rok 1953. Zmarł już Stalin, ale jego ideologia trzymała w ryzach pół Europy. W Polsce też była dobrze zakorzeniona. Rodziny w tajemnicy utrzymywały fakt, że ktoś z krewnych ośmielił się wybrać wolność na zgniłym Zachodzie. Broń Boże przyznać się, że ojciec, brat czy wujek trafił z Armią Andersa do Londynu, Madrytu czy Rzymu.

Nie pamiętam już w jaki sposób, na kilka tygodni przed maturą wpadł w moje ręce francuski miesięcznik „Filles de France”. Z Ewą, moją koleżanką, wczytywałyśmy się w treść, ale nasza francuszczyzna ograniczała się do zrozumienia tytułów i tylko nieco łatwiejszych ustępów. Wertowałyśmy tekst z pomocą niekompletnego słowniczka, ciesząc się każdym należycie zrozumianym zdaniem. Ostatnie dwie strony były dla nas olśnieniem: Correspondances. Dziesiątki nastolatków szukają bratnich dusz skłonnych do zadzierzgnięcia więzów epistolarnych. Chcą pisać, chcą zawierać listowne przyjaźnie. „Toż to dla nas! Cudowne znalezisko. Napiszemy i my!” – zapadła decyzja.

Ojciec Ewy wyszukał nauczycielkę, panią Kuklińską, która miała nam udzielać prywatnych lekcji. Twardo postanawiamy: pogłębiamy francuski, a w lipcu zdajemy na romanistykę w Warszawie! No, ale przede wszystkim piszemy list do „Filles de France”. Całe wakacje wkuwamy słówka, szlifujemy plus-que-parfait, układamy sobie rozmówki i gadamy. List jakoś skleciłyśmy nie mając zbytniej nadziei, że ktoś

z atrakcyjnego świata zechce napisać do dziewczyn zza żelaznej kurtyny, o ile w ogóle redakcja go wydrukuje.

Kto pamięta tamte czasy, wie że trzeba było wielkiej odwagi, aby przejść przez „procedurę wysyłkową” na pocztę. Ale od czego nasza młodzieńcza werwa. Idziemy z Ewą na Kopernika z naszym listem w nie zaklejonej kopercie. Paniuszka z okienka wyjmując list, niby czyta, niby coś rozumie, niesie go gdzieś na zaplecze. Struchlałyśmy. Wraca: „Macie iść do kierownika!” Strach nas obleciał. Idziemy jednak. Pan kierownik: „A kto to jest ten „filedefrance”? Francuzik jakiś, co?” „Nie, nie! To redakcja pisma „Dziewczęta z Francji” – wyjaśniamy. „A po co wy do redakcji francuskiej piszecie?” „Bo szukamy korespondentów. Będziemy studiować romanistykę, chcemy podszlifować język.” „Acha, podszlifować język! Znamy to, kształcą się takie za nasze polskie pieniądze, a potem czmych na Zachód!”

Długo trwała debata. Długo przekonywałyśmy pana kierownika, że czmychnięcie ani nam w głowie, że najpierw skończenie studiów,



„Piekło – Pieśń 2”, „Wergiliusz dodaje Dantemu odwagi”
drzeworyt Salvadora Dali

a potem uczciwa praca dla Polski Ludowej. Jakoś nam uwierzył. Pociągnął językiem po naszej kopercie, zakleił. Przyłożył stempel, wrzucił list do szuflady. Klepnął nas po ramionach. List miał iść w szeroki świat. Do Europy!

Wakacje zbliżały się ku końcowi. Pewnego dnia listonosz przyniósł mi gruby zalakowany pakiet, cały zalepiony taśmami. Polski urząd kontroli miał dużo roboty, dziesiątki okrągłych stempelków z godłem i napisem: Urząd Kontroli w Warszawie, ul. Chmielna 75 i mnóstwo kwadratowych „skontrolowano” i nazwisko kontrolera. Pamiętam, że zliczyłam wszystkie stempele, było ich ponad pięćdziesiąt.

Zawartość paczuski przeszła nasze oczekiwania, wzbudziła jeden wielki zachwyty. Dziesiątki kopert, pięknych znaczków, pocztówek z miast i miasteczek Francji, Włoch, Algierii, Maroka, Belgii, Gujany Francuskiej, Sahary, Nowej Kaledonii. Jeden nawet z ...Leningradu. Wszyscy chcą z nami korespondować. Rozdzieliliśmy z Ewą listy według ustalonych kryteriów, każda otrzymała jednakową ilość adresów męskich i żeńskich. W razie sporu miałyśmy ciągnąć losy. One i oni. Młodzi i starzy (po czterdziestce), kawalerowie i żonaci. Z Paryża, Casablanki, Sycylii.

Żadna z nas w tamtej chwili nie mogła przypuszczać, że szary pakiecik niby zaczarowana kula odmieni nasze życie, przyniesie radość, realizację marzeń, piękne przyjaźnie na wiele, wiele lat! Któraż z nas mogła przypuszczać, że już za cztery lata ujrzy Paryż, a potem Szampanię, Normandię, Prowansję, że posmakujemy Francji, że oczaruje nas na całe życie, że mnie osobiście język francuski otworzy wrota do zwiedzania wielu innych krajów europejskich, że poznam ludzi, dzięki którym szaryzna Peerelu będzie dość barwnym wspomnieniem.

Rozpoczęliśmy studia na Uniwersytecie Warszawskim. Dzięki korespondentom otrzymywałyśmy mnóstwo francuskojęzycznych czasopism. Szczerze mówiąc, to one stanowiły bazę do poznawania języka, kultury, historii. Były źródłem wszelakich ciekawostek np.: z festiwali w Cannes, ze ślubów księżniczek, z całego dolce vita Zachodu. Z francuskiego Cinémonde i Cine-Revue tłumaczyłyśmy te wieści dla polskiego Filmu i Ekranu.

Młodzież z tamtej strony była nie mniej zafascynowana dziewczynami z północy, które interesują się ich krajem, językiem, kulturą. Przesyłały nam malutkie paczuski z drobiażkami: apaszki z nadrukami miast, marokań-

skie wiszące kolczyki, nylonowe pończochy, wodoszczelne zegarki, malowane statuetki, talerzyki. Do dziś, po upływie pięćdziesięciu lat, zachowałam piękną szklaną kasetkę z La Rochelle, fajansowego konika z Sycylii, ręczniczek marokański, miseczkę z Paryża przywiezioną dla malutkiej siostry. Dziś to zwykły gadżet jakich dziesiątki w każdym domu. W tamtych czasach taka drobnostka miała zupełnie inne znaczenie. Była czymś i to bardzo ważnym, bo „stamtąd”. Dostawałyśmy mnóstwo pocztówek ze wszystkich zakątków Europy, a nade wszystko książki, mapy. Kompletowałam Balzaka, Hugo, Stendhala. Byłyśmy zauroczone, każdy list był wydarzeniem, czytany, komentowany, „rozpracowywany” literacko i gramatycznie.

Przyszła pamiętny rok 1957 – „rok odwilży”. Nasza euforia: dostajemy paszporty i skromną dotację rektora na bilet Warszawa-Paryż. Jedziemy do Francji przez Wiedeń. Mamy do kogo. Każda w inną stronę, każda do „swoich”. Niezwykłe przeżycie. Szczęściarzy! Prosto z Gare de l'Est Sophie wiezie mnie do hoteliku usytuowanego w słynnym klasztorze przy rue Picpus, klasztorze opisanym przez Victora Hugo w „Nędznikach”, gdzie galernik Jean Valjean kradnie świecznik. Wydaje mi się, że śpię w jego pokoju, może nawet w tym samym łóżku...

Zwiedzam Paryż, przemierzam, uliczki i słynne bulwary, które nie tak dawno były tylko nazwami w szaroburym podręczniku. Jestem zaproszona do Bretanii, potem do Normandii. Zwiedzam Saint-Michel, obserwuję odpływ morza. Trzy tygodnie później tyram w winnicach pana Hue, w pobliżu zamków nad Loarą, nieco później daleko w Argeles-sur Mer, gdzie w październiku niemiłosiernie dopieka słońce. W Prowansji zwiedzam słynny „młyn Daudeta”, Pont du Gard sprzed 2 tysięcy lat. Za zarobione franki kupuję upragnione białe szpileczki ze skórki daniela, haleczkę na fiszbinach, szminkę jakiej w Polsce nie ma. W studenckim kampusie poznaję młodych Anglików, Niemców, Włochów. Wiele wspaniałych znajomości. Świat się otworzył, jednak już wkrótce zamknął się znowu. Europa taka barwna, radosna. Karnecik pełen adresów. „Napiszecie?” „Napiszemy!” Jeszcze dziś co pewien czas otrzymuję list z Rennes lub z Bonn – to przyjaźnie z tamtych lat.

Takie były moje pierwsze kroki w Europie. Niezwykłe, inspirujące do dalszego poznawania jej zakątków. Pogłębiałam włoski, angielski. Los zrządził, że mimo blokady granic w pań-

stwach komunistycznych, mimo trudności w wyjazdach, braku dewiz, konta bankowego, późniejsze lata – głównie 70. i 80. – obfitowały w dalsze eskapady. To dzięki moim wspaniałym korespondentom zwiedziłam 11 krajów europejskich, a także spory kawałek Sahary. W latach 90. wielu moich przyjaciół gościłam w Polsce. Inni się wykruszyli lub odeszli na zawsze. Zachowałam piękne wspomnienia.

Całe moje pokolenie szło do Europy podobnie – autostopem, z biletem na pół trasy, z karnecikiem adresów znajomych naszych znajomych, bez konta, a bywało – bez dolara w kieszeni. Za to z dziecięcą ufnością, że znajwi się ktoś, kto pomoże zobaczyć Europę!

Zapiski Amerykańskie

HOTELOWE REFLEKSJE

Ludmiła Marjańska

Dlaczego muszę opisać ten właśnie, a nie inny przylot, czy też przyjazd. Dlaczego wybieram ten, a nie inny fragment z kilku moich podróży do Ameryki? Czy dlatego, żeby uciec od najważniejszej podróży – w głąb siebie?

Kiedy się nad tym zastanawiam, widzę że to czysty eskapizm. Od dziecka nie znoszę stanu napięcia, trudności przerażają mnie, usiłuję uciec od wszelkich komplikacji. Zawsze lubiłam ucieczkę od rzeczywistości, zanurzenie się w całkowitej obcości, jakby to było ratunkiem. A przecież nic nas nie może uratować od siebie, wyzwolić z więzów własnego życia. Jesteśmy na nie skazani, możemy jedynie próbować trochę je zmienić. Podróże są tylko próbą, chwilową ucieczką od siebie w inność.

Ale dlaczego tutaj, z dala od domu, w kraju pozornej szczęśliwości, osaczają mnie takie myśli, nie pozwalają zasnąć, wyrrywają ze snu? Dlaczego tu, gdzie ulicami pędzą humbery, fordys, mercedesy, śni mi się, że daremnie próbuję znaleźć mojego czerwonego malucha, zaparkowanego na noc na sąsiedniej uliczce. Przecież był tutaj, w tym miejscu, gdzie widnieje tylko ślad, sucha jezdnia nie zasypała śniegiem. Daremnie po raz trzeci przemierzam uliczkę i patrzę na rząd ośnieżonych samochodów – mojego „Piracika” naprawdę nie ma. Uliczka jest pusta, zagracona starym żelastwem. Co za obrzydliwe uczucie. Ukradziono mi samochód, na który tutaj, w Ameryce, patrzono by z politowaniem. Tutaj nikt by się na coś takiego nie połakomił, ale dla mnie ten zabawny maluch jest czymś tak bliskim jak dziecko. Głaszczę kierownicę, zanim ruszę, zachęcając go do jazdy. To on daje mi poczucie swobody, mogę wyrwać się z szarych murów miasta,

z ulic zatrutych spalinami. Wyrwać się choćby niedaleko, do Gass, gdzie Wisła migoce w słońcu, dla mnie stokroć piękniejsza od Mississippi. To tu, w Gassach, znalazłam kiedyś w lutym rozwinięte stokrotki i zapach przedwiośnia.

Budzę się zmęczona i sięgam po zegarek. Dopiero szósta, nie ma sensu wstawać. Jestem w Ameryce, dzień tutaj długi jak serpentyna, rozwija się w niekończącą się zieloną wstęgę, nakrapianą wrażeniami, nie wolno rozwijać jej za wcześnie. Sen przenosi mnie znowu do kraju, zaczynam myśleć o wszystkim, tylko nie o Ameryce, która przecież miała mnie chronić od codziennych kłopotów. Gdzież ten szklany klosz, który miał mnie nakryć, którego nie można stłuc, pod którym nie będzie ani za ciepło, ani za zimno, tylko letnia temperatura zapewniająca sprawne funkcjonowanie organizmu? Pod tym kloszem widziane przez szkło krajobrazy nabierają blasku, znika szpetota budynków i murzyńskich dzielnic. Pod kloszem zatrze się może w końcu moja obcość i niepotrzebność?

Ale to daremne złudzenie. Co rusz budzi się we mnie irytacja na tutejszą obojętną uprzejmość, na ugładzone bogactwo i nieporządną nędzę. Pod witryną sklepu jubilerskiego, gdzie połyskują kolie i pierścienie, leży czarnoskóry żebrak w łachmanach. Nawet nie żebrze, po prostu tkwi pod ścianą otępiaty. Nie reaguje na tupot nóg, wycie ambulansów, zgrzyt autobusów. Głowa obwiązana zielonym szalikiem, białka połyskują spod przymkniętych powiek. Nie wiadomo, czy jeszcze coś widzi, czy umiera na brudnym chodniku pełnym niedopałków i plwocin.

Życie nie jest łatwe ani u nas, ani tutaj. Wszystko zależy od umiejętności złagodzenia problemów, a może od przystosowania. Gdyby można stać się kameleonem! Ale jesteśmy tylko egoistami, mijającymi spokojnie leżących na ziemi nędzarzy i litujemy się nad sobą i swoim „wyobcowaniem”.

Z dala od domu przeżywamy intensywnie nasze pojedyncze, indywidualne życie i wierzymy, że tamto – w domu, w kraju – zatrzymało się na czas naszej nieobecności. Owijamy się w ciepłą watę dosytu, wyobrażamy sobie, że tam nic się nie zmienia, że dni płyną monotonicznie i spokojnie – nic przecież nie powinno zakłócać naszego dobrego samopoczucia.

Kiedyś, po powrocie, nie będziemy pamiętać naszych zagranicznych, śmiesznych zapaści, znikną złe sny, a nasze opowiadania będą tak pięknie polakierowane, jak kolorowe pocztówki.

Tymczasem zbyt często czuję się tutaj inna, nieprzystosowana, samotna, wyobcowana. Zawieszona między moim prawdziwym, a tymczasowym istnieniem, które na miesiąc, dwa, trzy przyjełam za swoje. Dopadają mnie wszystkie chwile, kiedy czułam się w Ameryce obco i źle,

kiedy chciałam już być w domu, gdzie ktoś naprawdę troszczy się o mnie. Być u siebie. A czy tutaj nie jestem „u siebie”, w swojej skórze, w swoim starzejącym się ciele, z moimi własnymi, często skrywanymi myślami i wrażeniami?

Wyobcowanie dopada mnie Głównie w hotelach. W eleganckich, często luksusowych hotelach. Opłaconych przez zapraszające, gościnne instytucje. W Nowym Jorku, w Chicago, w Portland w stanie Oregon. Elegancja Hiltonów, Ambasadorów, Holiday Inns z początku sprawiająca przyjemność, wkrótce przytłacza mnie, przyprowadza o depresję. Zdarza się to nawet w Europie: ze wspaniałego hotelu w najcudowniejszym mieście, w Barcelonie, byłabym uciekła, gdyby nie konieczność uczestniczenia w konferencjach Europejskiego Kongresu Pisarzy. Poczucie obojętności. Wiążące jak kajdanki. Podobno mam to zapisane w gwiazdach, jak ktoś wyczytał mi z horoskopu dla Koziorożca w jakiejś specjalnej koniunkcji.

W jednym tylko hotelu czułam się dobrze i swojsko: w małym mieście Northhampton w stanie Massachusetts, w Autumn Inn. Przyjechałam do Smith College, żeby zobaczyć się z Richardem Wilburem, który wówczas tu wykładał, a mieszkał w pobliżu, w Cummington. Przed laty studiowała tu Halina Poświatowska. Pamiętają ją jeszcze niektórzy starsi wykładowcy.

„Jesienna Gospoda” w pobliżu Smith College. Dostaję przytulny pokój z imitującymi antyki meblami. Okna wychodzą na ogród, gdzie migają kolorowe ptaki. Podjazd kryty dachem, oddzielającym domek właściciela od piętrowego budynku hotelu z czerwonej, ale niezbyt czerwonej cegły. Okiennice, zieleń, odczucie swojskości i zadomowienia. Jaka szkoda, że będę tu tylko dwa dni.

W recepcji sympatyczna panienska, która po kolacji zaprasza mnie na lody (na koszt firmy) i na pogawędkę. Jest polskiego pochodzenia, z domu Duda, ale to dla niej już nic nie znaczy. Żadnych emigracyjnych opowiadań o wojennej epopei, o nieszczęsnej Polsce, żadnych podejrzeń, jak to się stało, że już po raz któryś dostaję paszport. Nieoczekiwane ciepło gościnności. Zdaję sobie sprawę, że małe miasta są inne niż wielkie metropolie, ale uczucie spokoju i przyjaznej życzliwości zostaje.

Jak to będzie po powrocie do kraju? Czy znajdzie się czas na długie opowiadania? I o czym będę opowiadać? Przecież nie o wyobcowaniu, które pewnie jest rodzajem nostalgii. Dwie lub trzy zabawne historyjki wejdą do mojego repertuaru i będę je powtarzała każdemu, kto spyta o moje wrażenia z Ameryki. Będą to migawki, w których został uchwycony jakiś szczegół inności lub dziwności tego kraju. Wszystko inne zasypie lawina drobiazgów, z jakich składa

się codzienność: terminy spotkań, zaległe listy, kwity z pralni, butelki na mleko. Prawda, tam jeszcze są butelki na mleko, które wystawia się za drzwi, żeby rano zabrać napełnione. Cóż za prehistoria!

Tutejsi ludzie, ich problemy, rozmowy, spotkania osiadą gdzieś na dnie pamięci, wśród wspaniałych krajobrazów pomiędzy Long Island w stanie Nowy Jork, a Port Angeles w stanie Washington, krajobrazów także z wolna przywalanych górami zakupów i wynoszonych śmieci. Czasem po powrocie wyskoczy z radia zapamiętana stąd melodia, jakiś cudzoziemiec na warszawskim Nowym Świecie odezwie się po angielsku i w jego akcencie odnajdę podobieństwo do gardłowej mowy taksówkarza z Baltimore. Na mgnienie oka ten czas wróci żywym targnięciem, ale już po chwili zagłuszy go niegrzeczny ton ekspedientki, którą zirytuje moje głupie pytanie o płatki kukurydziane. Jakbym nie wiedziała, że pokazują się w sklepie jedynie w określonych porach roku, na długo po zbiorach kukurydzy, kiedy przetwórnica zdoła je wreszcie wyprodukować. Jakby to był owoc sezonowy, niemożliwy do przechowania.

Nie straciłam poczucia rzeczywistości i doceniam tutejsze dobrodziejstwa, na krótko mi udostępnione, ale przywykłam nie spodziewać się niczego lepszego w kraju. Czy to się kiedykolwiek zmieni?

Czasem wydaje mi się, że różnica między moim życiem tutaj, a w kraju, polega głównie na tym, że tutaj jestem tylko widzem. W domu jestem włączona w wartki nurt życia, nie jestem w stanie odizolować się od burzliwej historii ani od nużącej codzienności. Strajki, Solidarność, Wałęsa, stan wojenny, żywność wydzielana na kartki, kolejki po papier toaletowy, upokarzające oszczędności na wszystkim. A tutaj walka wyborcza o fotel prezydencki, afery w Kongresie, coraz śmielsze żądania homoseksualistów, którzy swoje związki chcą uświęcić małżeństwem, zamieszki rasistowskie, walka o prawa Indian – to wszystko jest jak film, utrzymany w niejednolitej konwencji, czasem pasjonujący, czasem nudnawy. Nie ma we mnie zaangażowania, jedynie świadomość, że wkrótce wyjdę z tej sali kinowej, zostawię film bez początku i bez zakończenia, wrócę do czarno-białej taśmy, z której nie mogę wykadrować ani obrazu Stoczni Gdańskiej, ani tasiemcowych ogonków, ani ciemnych okularów generała.

Poczucie tymczasowości, które towarzyszy mi w każdej z tych podróży, staje się pretekstem do prześlizgiwania się po powierzchni. Spłacone problemy? Fałszywy kąt widzenia? Czy tylko pewność, że za chwilę wsiądę znowu do samolotu i oddalę się od tego kraju, zostawiając wszystko za sobą?

1980 cdn.

Rozmowa z Piotrem Kaczkowskim

– część III

Joanna Grochowska: Zdecydował się Pan na opublikowanie w formie książkowej swoich wywiadów, przeprowadzanych w ciągu wielu lat ze sławnymi muzykami. Co Pana do tego skłoniło? Czy w książce znalazły się wszystkie czy tylko wybrane rozmowy? Dlaczego jest tylko jeden wywiad z polskim wykonawcą?

Czy zamierza Pan wydać kolejne tomy?

Piotr Kaczkowski: Zdecydowałem się opublikować wywiady w formie książkowej, ponieważ radio jest ulotne i rozmowa zaprezentowana w radiu może być tylko dziś, tu i teraz. A słuchacze pisali, dzwonili, pytali: „Słyszałem, że był taki lub inny wywiad, czy można do niego wrócić, czy można go powtórzyć?” Nie wszystko można bez przerwy powtarzać, więc pomyślałem sobie, czemu nie miałyby się to ukazać drukiem, skoro prawie jest. Był to błąd, ponieważ dopiero później zorientowałem się, że coś, co jest sztuką radiową nie jest tekstem do druku.

Największym zaskoczeniem dla mnie był fakt, że wywiad, który dobrze brzmi w radiu, aby ukazać się w formie pisanej wymaga dopiero pracy. To, co słyhać przez radio – zawahanie w głosie, tylko pół zdania bez orzeczenia – brzmi, w druku – nie może zaistnieć. I to był szok. Okazało się, że praca nad przygotowaniem tych wywiadów jest straszliwa, że to jest jak uczenie się chodzenia. Miałem na szczęście grupę młodzieży uczącej się dziennikarstwa, radia oraz entuzjastów, którzy bardzo mi pomogli.

Oczywiście, że w książce nie ma wszystkich wywiadów. Wiele z tych, które robiłem dla radia i które były odtworzone – zginęło. Zostały skasowane, nie były archiwizowane, poszły w eter i nie było po nich śladu. Może ktoś je ma, bo nagrał sobie na kasecie. Wyjąłem, wydawało mi się, najciekawsze, nietypowe lub... niecodzienne. Wśród nich – paradoksalnie – był tylko jeden polski wywiad, który się zachował. Któregoś dnia byłem umówiony z Lechem Janerką na sobotę, ale okazało się, że właśnie w sobotę daje koncert. Mógł jednak przyjść w piątek. Nagraliśmy dwudziestominutową rozmowę, odtworzyłem ją nazajutrz, a taśma

została. Gdyby przyszedł w sobotę „na żywo”, jak inni artyści, śladu by nie było.

Czy kolejny tom? Myślę, że materiał na drugi i trzeci jest. Ale żyjemy w coraz bardziej zhamburgeryzowanej rzeczywistości i myślę, że nie każdemu są one potrzebne i nie każdy jest nimi zainteresowany. Podejrzewam, że gdybym zgłosił się do jakiegoś wydawcy i powiedział, że mam do opublikowania książkę pt. „100 największych tajemnic ludzi showbiznesu, z którymi rozmawiałem, piłem i artystek, z którymi kochałem się”, to byłaby książka miesiąca. Natomiast ja mam te wywiady. Czasami były w druku, publikowała je albo prasa codzienna, albo jakiś miesięcznik – najczęściej „Tylko Rock”. Tak w radiu, jak i w druku muszą być dość krótkie. Przykład z ostatnich miesięcy. Pamiętam zdanie, które artysta powiedział: „Ja nigdy w życiu nie byłem w niczym dobry, w niczym z wyjątkiem układania słów, mam łatwość układania słów”. W gazecie przyjęło to postać: „Zawsze byłem dobry w układaniu tekstów” i koniec. Wydaje mi się, że to szalona różnica. Albo słyszę radość w głosie człowieka, który mówi: „Świetnie, że ma pan ten wywiad, a ile on ma znaków?” Odpowiadam: „A ile pan potrzebuje, bo jeszcze nie skończyłem i jestem na 14 tysiącach”. Na co on mówi: „No, ale ja mogę zmieścić najwyżej 4800”. Więc wiem, że ukáže się 1/3 tego wywiadu i trzeba to zrobić, żeby miał początek, środek i zakończenie, żeby poruszał ileś tematów, ale zwięźle. A są artyści, którzy lubią mówić – np. Marianne Faithfull czy Robert Plant. Dwuminutowa wypowiedź Roberta Planta jest normalna. Natomiast te 2 minuty w druku zajęłyby połowę wywiadu.

Widziałem też wywiad zrobiony ze mną. Rozmawialiśmy 30 minut, poruszyliśmy 10 tematów, a w druku ukazało się pierwsze zdanie z każdego akapitu, następne już nie. Ewentualnie doklejony był koniec ostatniego zdania, co brzmiało po prostu śmiesznie.

Pańskie rozmowy – wywiady – z legendarnymi postaciami świata muzycznego pozbawione są truizmów, prostych nic nie zna-



czących pytań, egocentrycznych dygresji. Jak przygotowuje się Pan do nich? Co Pana najbardziej interesuje – osobowość artystyczna, stosunek do muzyki i wykonywanego zawodu, dbałość o perfekcję i technikę, filozofia życia rozmówcy?

O, to bardzo piękne słowa już w samym pytaniu. Tak jak siadam do ułożenia audycji, tak siadam do ułożenia wywiadu, zadając sobie pierwsze, podstawowe pytanie – dlaczego? „Dlaczego robię to z tym człowiekiem i zadam mu takie, a nie inne pytanie?” I teraz są dwie szkoły – już mówię o wywiadach. Pierwsza szkoła jest taka: zadaję mu pytanie, ale i tak znam odpowiedź. To jest cudowna szkoła, ponieważ można ułożyć wywiad, który będzie ładny i zgrabny. Nie chcę się niczego dowiedzieć, tylko żeby on to a to powiedział głośno. I druga szkoła, którą obserwuję np. u jednego z najwybitniejszych amerykańskich dziennikarzy. On nie ma pojęcia, kim jest ten facet, z którym będzie rozmawiał przez godzinę. I np. rozmawia z Rodem Stewartem, który mówi: „pomógł mi gitarzysta – Jeff Beck...”, a dziennikarz pyta: „Jak nazwisko? Jeff Beck? On żyje?” Rod mówi: „Tak i ma się dobrze”. To jest inny rodzaj szkoły. Dziennikarz nic nie wie, albo udaje, że nie wie, lub naprawdę nie ma czasu się przygotować. Ponieważ robi to bardzo często podejrzewam, że on nie wie. Czasami zadaje takie zdumiewające pytanie, jak w rozmowie z zespołem The Bee Gees, kiedy pyta: „Czy »Saturday Night Fever« i ten dysk, to było na początku waszej kariery?” A oni odpowiadają: „Nie! To było 10 lat później!” Na to on: „Naprawdę?!”

Moją metodą jest, że jestem przygotowany. Znam odpowiedź na większość podstawowych pytań, ale jestem też przygotowany na zadanie wielu pytań, na które nie znam odpowiedzi. Zadaję je dopiero w momencie, kiedy artysta odpowie na pytanie podstawowe, w związku z czym mój wywiad wygląda jak drzewko choinkowe – jest pień od niego odchodzą gałęzie i z każdej gałęzi odchodzą gałązki. Zadaję pytanie z gałęzi, jeżeli widzę błysk w oku, widzę zainteresowanie, to drążę, od gałązki jeszcze mała gałązeczka. Jeżeli widzę, że nie, to się wycofuję, wracam do pnia i idę w drugą gałąź. Wiele razy widziałem, że artyści przyglądali się mojej kartce i pytali: „Co to jest?” „To jest wywiad z tobą” – odpowiadałem. Przygotowuję się w ten sposób, bo wydaje mi się, że poszerzę swoją wiedzę, uzyskam to, co chcę uzyskać. Nie zawsze mówię artystcie, że ja dużo wiem. Bardzo często jest tak, że podczas roz-

mowy artysta nagle pyta: „A skąd ty to wiesz?” Takie pytanie wydaje mi się wielkim komplemtem.

Natomiast nie interesuje mnie nic, co mogłoby mu sprawić przykrość lub sprawiło, że poczuje się zagrożonym. I gdy rozmawiam drugi raz z tym samym człowiekiem, to on mnie pamięta. Tak było z Eltonem, który nigdy by mi nie opowiedział o tym, jak brał narkotyki, jak się czuł, co przeżywał.

Znane są przykłady (z naszego kraju też), kiedy artysta mówi: „Jeżeli jeszcze jedno takie pytanie padnie, to koniec wywiadu”. Albo: pada jedno, drugie pytanie i artysta mówi: „Ty znasz moją płytę? Słuchałeś jej? Wiesz, kim ja jestem? Nie wiesz, to do widzenia”. I wychodzi ze studia.

Czy przeprowadzając te rozmowy próbuje Pan wykorzystać je także do przemycania własnych przemyśleń na temat tego, co w muzyce dzieje się i zmienia?

Oczywiście. Nie powiedziałem tego jeszcze, a muszę to powiedzieć – to jest mój największy przywilej, moje największe szczęście, największy dar, jaki otrzymałem gdzieś z samej góry, że mogę rozmawiać z największymi tego świata, że mogę dotknąć tej materii.

Obserwuję to, co robią artyści, słucham ich płyt, widzę czy idą w górę, czy są na huśtawce, czy też spadają i giną. Rozmawiam z nimi i pytam dlaczego. Tych, którzy się oparli i dali sobie radę, którzy znaleźli niszę i są w niej zupełnie szczęśliwi i bezpieczni i tych, którym się nie udało, którzy się miotają. Oczywiście, że tak. To, o co ja pytam artystów, jest często pytaniem o siebie. W ten sposób, jedyny, jestem w stanie ich zrozumieć.

Czy ma Pan wpływ na wybór swoich rozmówców, jeśli tak to czy stosował Pan jakiś „klucz” w tym wyborze?

Czy są wykonawcy, z którymi bardzo chciałby Pan przeprowadzić wywiad, ale jak dotąd nie było takiej możliwości (okazji)?

Jestem, jeszcze raz to podkreślę, w tym cudownym położeniu, że nie jestem omnibusem, który musi wszystko. Nie to, że mogę sobie wybierać, bo życie jest jakie jest i człowiek musi reagować na to, co napotyka na drodze. Myślę, że w moich wywiadach widać i słychać, że jeżeli kocham twórczość danego artysty to ten wywiad jest lepszy, jeżeli nie kocham, to wywiad jest poprawny. Można zrobić poprawny wywiad, mnie się zdarzyło, z artystą, którego muzyki nie odtwarzam, ponieważ mnie nie porusza.

Kiedyś powiedziałem: „Nie można odtwa-



rzać wszystkiego tylko dlatego, że to istnieje. Trzeba odtwarzać tylko to, co jest najważniejsze, co jest najpiękniejsze." Czasami ktoś mnie pyta: „Jak to się dzieje, że prezentuje pan w audycji 12 płyt i o każdej mówi, że jest piękna? To gdzie jest stopniowanie?” Odpowiadam: „Stopniowanie się dokonało i te wszystkie utwory, które były takie sobie zostały w domu. Po to przesłuchuje się 50 płyt, żeby można było wybrać z nich 12 najlepszych utworów”. Każdy dziennikarz ma obowiązek informować. Kiedy chcę zareagować na jakąś płytę, wtedy mówię, że ona mnie tak bardzo nie poruszyła, ale dobrze jest wiedzieć, że istnieje. Natomiast to, co mnie porusza, wciąż, zachwyca ma swoje miejsce. Także z większą radością podejść do wywiadu z kimś, kogo muzyka, myślenie jest mi bliskie. Aczkolwiek akurat ten jeden wywiad, który zrobiłem z osobą, której twórczości nie odtwarzam, wywołał zgoła entuzjastyczne reakcje przedstawicieli wytwórni: „Panie Piotrze, jakąż to była znakomita rozmowa! To była najlepsza rozmowa, jaką ta osoba kiedykolwiek odbyła”. Po prostu rozmówczyni okazała się osobą uroczą, czarowną, mądrą, błyskotliwą, nadała 15 minutowej konwersacji szlif i zakończyła ją efektywną puentą. A była to rozmowa, do której nie miałem (uwaga!) czasu się przygotować, gdyż było to gwałtowne zastępstwo w trakcie programu. Duch przeleciał.

A cóż to za tajemnicza osoba?

Niech to zostanie niedopowiedziane.

Czy są jeszcze wykonawcy, z którymi bardzo chciałby Pan przeprowadzić wywiad?

Taaak, jest ich mnóstwo, ale cierpliwości. To przyjdzie. To przyjdzie któregoś dnia. Nie można mieć wszystkiego dziś, bo co dalej?

Miałem przez ileś lat numer telefonu do Petera Gabriela, do domu. Dostałem go, ponieważ wiadano, jak bardzo mi na wywiadzie zależy. Czekałem na rozmowę z nim 20 lat, często widząc ten numer w notesie. Myślałem sobie: „No przecież nie zadzwonię i nie powiem: „Dzień dobry, chcę z panem porozmawiać”. Potem nagle okazało się, że oto rozmawiam z nim pierwszy, drugi, trzeci raz. Nie wykluczam, że znowu będę z nim rozmawiał, bo powiedział: „Jeszcze o tym porozmawiamy”. Ludzie mnie pamiętają. Nie wiem dlaczego tak się dzieje. Nawet jak rozmawiamy przez telefon, to artysta mi mówi: „Pamiętam, myśmy się spotkali w korytarzu, rozmawialiśmy 2 minuty. Pytam: „W korytarzu?” I nagle sobie zdaję sprawę – tak! Rozmawialiśmy w korytarzu!

Jakie znaczenie mają dla Pana wywiady z muzykami? Czy stanowią zajęcie stricte zawodowe, czy raczej osobiste, intymne? Czy są formą powiększania wiedzy o nich, ich muzyce, czy może grona swoich przyjaciół?

Myślę, że tak, tak i tak. Oczywiście, że chcę wiedzieć o nich jak najwięcej. Mam 150 książek, z których mogę się dużo dowiedzieć, ale czasem przez dwie minuty w korytarzu dowiem się więcej, niż po przeczytaniu całej książki. Dlatego przed laty marzyłem, żeby pojechać i obejrzeć koncerty, których w Polsce nie mogłem zobaczyć, bo myślałem: „Nadaję te płyty i nadaję, a nie wiem jak ci ludzie wyglądają. Chcę zobaczyć jak oni wyglądają, jak brzmią, chcę poczuć ten nastrój”. Wtedy pojechałem i zobaczyłem 200 koncertów w ciągu 2 lat. Zobaczyłem właściwie wszystkich, jak w tym przysłowiu: „Jeżeli staniesz na Picadilly Circus w Londynie albo na Times Square w Nowym Jorku i będziesz tam wystarczająco długo, zobaczysz cały świat”.

Odpowiedź na drugie pytanie – też tak, oczywiście. To jest mi potrzebne do mojej pracy. Im więcej się o artystach dowiaduję, tym lepiej ich rozumiem, ponieważ przeszło to przede mną, przefiltrowało się i lepiej potrafię wytłumaczyć słuchaczom. Bo przecież po co ja jestem? Po to, żeby wytłumaczyć słuchaczom dlaczego (jeszcze raz to samo ważne pytanie) jest tak, a nie inaczej. Czasami kiedy czytam recenzję, w której ktoś opisuje jakąś płytę i pisze: „To beznadziejne”, to ja byłbym szczęśliwy, gdyby napisał: „Na moje głupie ucho – to jest beznadziejne”; albo – „Nie miałem czasu tego słuchać i to jest beznadziejne”. Czytam recenzję, w której człowiek pisze: „Ani jeden utwór z tej płyty nie zostanie w naszej pamięci”. A ja wiem, że na tej płycie jest utwór, który zostanie z nami na dziesięciolecie. Wiem o tym, czuję to, i zastanawiam się, czy człowiek, który napisał tę recenzję nie słuchał, czy nie słyszał? Teraz minęło 10 lat od opisanej chwili i utwór, o którym mówię jest najważniejszym w historii, czyli na razie ja miałem rację, poczekamy jeszcze 10 lat... Ja i usłyszałem i chcę słyszeć.

Z przygotowanych 40 pytań, udało mi się podczas pierwszego spotkania zadać dokładnie połowę. Drugiego ani kolejnego spotkania, z przyczyn ode mnie niezależnych nie będzie.

Joanna Grochowska

autor reprodukowanych plakatów –
Szymon Parafiniak



Arkadiusz Frania

Częstochowskie Dni Książki to impreza niezwykle potrzebna. Można nawet zadać pytanie, dlaczego została zorganizowana tak późno. Dni Książki realizują trzy klasyczne jedności: czasu, miejsca i akcji. W jednym miejscu i o jednym czasie gromadzą większość twórców częstochowskich, którzy uczestniczą w jednej zasadniczej akcji: promocji miejscowej książki i literatury. Jako poeta mogę z całą stanowczością powiedzieć, iż impreza stała się swoistym forum dyskusyjnym, pozwalającym wymienić czasem kontrowersyjne poglądy na temat poezji poszczególnych autorów czy poezji w ogóle. Wiemy przecież, że ze zderzenia różnic, odmiennych sądów rodzi się pozytywny ferment – warunek konieczny rozwoju. Trudno cały czas siedzieć w dziupli własnych myśli, nie konfrontując swoich wyobrażeń z wyobrażeniami innych ludzi.

Jestem pewien, iż impreza przyczyni się do zintegrowania miejscowego środowiska literackiego. Mam również nadzieję, iż nie będzie to jednorazowa efemeryda kulturalna.

Wojciech Grabałowski

Jeżeli miałbym wymienić, co kojarzy mi się z moim dzieciństwem, domem rodzinnym, z dzielnicą mojego dzieciństwa (a urodziłem się i wychowałem wśród rakowskich blokowisk), to wymienię „nieśmiertelny” elementarz szkolny, księdza Sojdy z parafii św. Józefa i jego opowieści spod Monte Cassino, książeczkę Brzechwy ze „Słoniem Trąbalskim”, „Lokomotywą” i okładką opatrzoną napisem „Poczytaj mi mamo”, Świerszczyk, Płomyczek i Płomyk, jesienne palenie kaganków, zimowe łyżwy przy młynie Kurlanda, kąpiele przy „Upuście” lub w korwinowskich gliniankach.

Potem były czytane z pasją „Dywizjon 303”, „Kordzik”, „Samotny biały żagiel” Katarjewa, „Szkoła” Gajdara i pierwsze tomiki wierszy Gałczyńskiego i Tuwima, które dostałem od swojej dziewczyny. Dalej musiałbym wymienić powieści indiańskie, przygodowe, „Trylogię”, „Krzyżaków” i wiele, wiele innych książek.

Nie mógłbym nie wspomnieć o Pani Eli z Biblioteki rakowskiej, prowadzącej mnie przez świat książek i mojej Ciotce Dance z Warszawy, która co rok przysyłała mi pudło książek po każdym majowych Dniach Książki i Prasy, a potem podsuwała co smakowitsze, już „dorosłe” tytuły.

Częstochowa wróciła do dobrych tradycji. Dni Książki są potrzebne jak nigdy. Teraz, właśnie teraz, kiedy co czwarty Polak nie czyta w ciągu roku żadnej książki.

Bardziej uroczysty kontakt z książką, spotkania z autorami, z poezją, możliwość kontaktu i rozmowy ze znajomymi to dobry prognostyk na przyszłość.

Wspaniałe spotkanie z Panią Ludmiłą Marjańską i jej poezją dla człowieka, który sam próbuje swych sił w wyrażaniu wierszem myśli i uczuć, to źródło optymistycznych zachęt i duże przeżycie. Byłem na tych „Dniach Książki i Ludzi z książką związanych” z radością i nadzieją, że wejdą na stałe do kalendarza kulturalnych wydarzeń Częstochowy. Napawa optymizmem obecna tam młodzież, w tym próbująca swych piór.

Rafał „Jeżyk” Kasprzak

Kolejny raz podjęto próbę reanimacji częstochowskiego środowiska literackiego. Wydaje się, że Targi Książki są skutecznym środkiem, który pozwoli przywrócić równowagę kulturalną w naszym mieście. Wiadomo także nie od dziś, iż taka impreza jest niezbędna, zarówno dla twórców, jak i dla czytelników. Ze względów oczywistych pisanie o jej walorach nie ma większego sensu.

Już w pierwszym dniu zorientowałem się, że w naszym grodzie więcej jest osób piszących aniżeli czytających. Najlepszym tego dowodem było zainteresowanie, lub jego brak, fanatyków sztuk wszelakich. Przy okazji, warto wspomnieć o kondycji książki w naszym regionie. Z całą odpowiedzialnością za słowa, śmiem twierdzić, że jest ona równa zeru. Najwspanialszym tego świadectwem była ilość sprzedanych tomów częstochowskich twórców, podczas dwudniowych targów. Wierzę, że za niecały rok Święto Książki będzie celebrowane z należyтым szacunkiem, a po przebudzeniu się nie ujrzą ręki w przysłowiowym nocniku.

Mateusz Szkop**Stoisko numer 6, czyli młodzi poeci**

Czytając w „Gazecie Wyborczej”, z miesięcznym wyprzedzeniem, notkę o organizowanych w czerwcu Częstochowskich Dniach Książki, natychmiast wpadłem na pomysł skrzyknięcia znajomych ze środowiska i zorganizowania wspólnego stoiska.

Byłem pewien, że taka impreza odbije się szerokim echem wśród piszących i że moja ro-

la ograniczy się jedynie do formalnych zabiegów i rozmowy z organizatorami. Nie ulegało też dla mnie wątpliwości, że organizatorzy zaprosili już większość częstochowskich poetów, pisarzy, felietonistów i wydawców i że pośród tak doborowego towarzystwa niekłamaną satysfakcją będzie zaprezentowanie twórczości swojej i swoich przyjaciół. I w tym miejscu, już na samym początku zostałem zaskoczony po raz pierwszy.

Mój początkowy pomysł zakładał stoisko z książkami znanych poetów, wiekowo zbliżonych do siebie, jego realizacja odkryła nie tylko denerwujący chaos w strukturach odpowiedzialnych za jego organizację, ale również zupełny brak zainteresowania w pozyskiwaniu książek i autorów na ekspozycję. Wielu starszych poetów, bądź co bądź dłużej i głębiej siedzących w literackich sprawach miasta, dowiedziało się o Częstochowskich Dniach Książki dopiero ode mnie. Efekt był taki, że plakietka z numerem stoiska i nazwą „młodzi poeci” okłamywała ludzi odwiedzających Dni Książki podwójnie. Wiele książek napisanych zostało przez autorów, którzy do grona młodych już się nie zaliczają (nie chodzi mi o wiek, pod tym względem dusza różnie hula, ale o dorobek i umiejętności) i po drugie – stoisko prezentowało również dokonania prozatorskie. Niedobrze to świadczy o organizatorach. Nie pokwapili się, by zainteresować czytelników i odwiedzających żywymi autorami, stojącymi tuż obok z długopisami, gotowymi w każdej chwili do największych poświęceń – autografów i pamiątkowych wpisów. Organizatorzy powinni wertować księgarskie półki w poszukiwaniu częstochowskich autorów i zapraszać ich, a nie tylko czekać aż przyjdą sami, najlepiej wygłodniali i na kolanach. To kategorycznie niezdrowe i sprzeczne z naszą biologią. Siłą natury jest jej symbioza, niech więc pisarze, poeci, wydawcy i organizatorzy żyją ze sobą również w symbiotycznym związku!

Aleksander Wierny

Trochę pozytywnej manipulacji

Kiedy odbywają się wybory o charakterze politycznym, wielu mniej znanych kandydatów – niezależnie od opcji – stosuje podobny zabieg socjotechniczny: na swoich ulotkach czy plakatach fotografują się z postacią dużego kalibru, powszechnie rozpoznawalną. Kandydat może dzięki temu uszczknąć nieco należącej do niego wielkości, sprawić, że wy-

borcy zobaczą jego postać skąpaną w blasku bijącym z wielkiej postaci. Fachowo nazywa się to efektem aureoli.

Częstochowskim Dniom Książki zabrakło tego blasku i dlatego – niestety – nie dopisała frekwencja, choć sama impreza jest bardzo potrzebna miastu i regionowi. Lokalni ludzie pórra są bowiem w sytuacji owego kandydata: aspirują do pewnej pozycji, ale są zbyt mało rozpoznawalni, żeby przyciągnąć swoim nazwiskiem miłośników literatury, a bez nich tego rodzaju wydarzenie nie ma racji bytu. Nie znaczy to wcale, że częstochowianie kiepsko piszą, bo tak przynajmniej w kilku przypadkach nie jest. Znaczą tylko tyle, że są mniej popularni od polskich gwiazd literatury, które są w stanie wyciągnąć ludzi z domów. Z tego powodu następna edycja Częstochowskich Dni Książki powinna być wzbogacona o gościnne występy na przykład Jerzego Pilcha, Marcina Świetlickiego, Olgi Tokarczuk czy Doroty Maślowskiej, a może nawet Katarzyny Grocholi. Jestem przekonany, że ściągnięcie takich ludzi nie leży poza zasięgiem możliwości organizatorów. Wierzę też, że nie mają oni oporów natury mentalnej, które nie pozwoliłyby na umiejętnie wyważenie racji marketingowych i wagi intelektualnej, jaką powinny się cieszyć nasze Dni Książki. Realia są bowiem bezlitosne. Nie da się skutecznie promować literatury częstochowskiej, opierając się tylko na naszych autorach. W boju o zainteresowanie czytelnika potrzebna jest aureola, która opromieniłaby lokalnych poetów i pisarzy. Czytelników trzeba – w sensie pozytywnym – trochę zmanipulować i nie mieć z tego powodu wyrzutów sumienia. W końcu przecież nawet Konrad Wallenrod zrozumiał, że aby osiągnąć w słusznej sprawie pożądaną efekt, trzeba się nieco nagiąć do potrzeb chwili.

*Jacek Tydźba
„Fryz dekoracyjny”*





Urszula Giżyńska,
redaktor naczelny
„Gazety Częstochowskiej”

Pomysł Częstochowskich Dni Książki zrodził się w rozmowach z Panią Gabrielą Żyłą, ze Stowarzyszenia „Nasza Częstochowa”. Doszliśmy do wniosku, że warto byłoby zainicjować taką imprezę kulturalną w Częstochowie. Następnie, już w imieniu „Gazety Częstochowskiej”, skierowałam się do dyrektora Czesława Tarczyńskiego. Naszym wspólnym zamierzeniem było zorganizowanie nie tyle samych targów książki, co imprezy wielowymiarowej, promującej Częstochowę i region, w rozumieniu byłego województwa częstochowskiego. Ważny jest także aspekt integracyjny. Poza pisarzami pojawiły się przecież drukarnie i wydawnictwa naukowe. Co prawda musiały wpłacić niewielkie kwoty za możliwość prezentacji swojego dorobku, ale przecież bez pieniędzy trudno cokolwiek zorganizować. Na częściowe finansowanie imprezy udało mi się namówić WSP i Politechnikę Częstochowską. Z kolei PP. Derda i Tarczyński uzyskali fundusze z kasy miasta. CDK są już wpisane w kalendarz imprez kulturalnych naszego miasta. Trochę żal, że częstochowianie nie przyszli tak tłumnie, jakbyśmy chcieli. Impreza była za mało rozreklamowana. Zwracaliśmy się z prośbą o objęcie patronatu przez „Gazetę Wyborczą”. Skończyło się na króciutkiej wzmiance. To przykre. Najważniejsze, że pierwsze Częstochowskie Dni Książki odbyły się. Uważam, że nie było najgorzej. Spotkaliśmy się z pisarzami, z wydawcami, czytaliśmy książki. O to chodziło.



Ewa Derda, dyrektor
Biblioteki Publicznej
im. dra Władysława
Biegańskiego

Termin 14 – 15 czerwca nie był trafiony, a i pogoda pomieszała nam szyki. Aleje były puste, mieszkańcy wyjechali w plener. W przyszłym roku zorganizujemy CDK w maju. To tradycyjny miesiąc poświęcony książce. Szwankowała reklama, plakaty były ładne, ale niewidoczne. Uważam, że powinny bardziej rzucać się w oczy. Należało zrezygnować z elegancji na rzecz „drapieżności”. Poza tym wytworzyła się dziwna sytuacja w mediach. Rozumiem, że współorganizatorem i patronem CDK była „Gazeta Częstochowska”, ale pozostałe gazety powinny być wesprzeć imprezę mocnym nagłośnieniem. Przecież prasa częstochowska winna służyć przede wszystkim mieszkańcom. Chyba, że się mylę? Nadto uważam, że CDK powinno towarzyszyć więcej imprez, które przyciągałyby ludzi. Teren wokół Miejskiej Galerii Sztuki nie jest najlepszym miejscem do organizowania tego typu przedsięwzięcia. Na koniec, jestem przeciwniczką zarabiania na imprezach książkowych. Nie namówimy księgarzy do wyjścia z książką na ulicę, jeżeli będą musieli za to zapłacić. Bezsensowne są próby zarabiania na Dniach Książki.



Czesław Tarczyński,
dyrektor Miejskiej
Galerii Sztuki

Ofertę wydawniczą oglądać można było na stoiskach przygotowanych przez wystawców, tj. wydawnictwa akademickie (WSP, Politechniki, Akademii Polonijnej, Wyższej Szkoły Zarządzania), wydawnictwo i księgarnie Domu Książki, Tygodnik Katolicki „Niedziela”, drukarnię „Garmond”, firmę „Udziałowiec” oraz Związek Gmin Jurajskich. Miejskie instytucje kulturalne zaprezentowały swoje publikacje na wspólnym stoisku.

Częstochowskie Dni Książki były również okazją do bezpośrednich kontaktów z pisarzami częstochowskimi i wywodzącymi się z Częstochowy; przez dwa dni odbywały się spotkania i rozmowy pisarzy z czytelnikami pod hasłem „Kawiarnia literacka zaprasza”. Gośćmi kawiarni byli m.in. Ludmiła Marjańska, Andrzej Kalinin, Tadeusz Szyma, Tadeusz Gierymski, poeci młodego pokolenia. Spotkania prowadzili dziennikarze.

Obok propozycji wystawienniczych i spotkań literackich CDK miały atrakcyjny program imprez towarzyszących o charakterze rozrywkowo-edukacyjnym, np. pokazy czerpania papieru przygotowane przez Czerpalnię Papieru Art-Papier z Gliwic, pokazy grafiki komputerowej (Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych), recital poezji śpiewanej Agaty Ślazyk, spektakl zespołu dziecięcego z Gimnazjum nr 5, głośne czytanie dzieciom przez osoby znane w Częstochowie, loterię fantową i in.

CDK są także przykładem dobrej współpracy między instytucjami kulturalnymi naszego miasta oraz nowym, wspólnym doświadczeniem organizacyjnym, które zaowocuje w kolejnej edycji. Wszystko, co można zrobić lepiej – postaramy się tak przygotować.

Informacje i fotografie: Dominik Warkiewicz

O tym człowieku pisałem już w „Notatkach”. Był powód. Przez półtora roku mieszkał w leśnej norze przy drodze prowadzącej z Olsztyna do Janowa. Nie był bezdomnym łazęgą, miał dach nad głową i całkiem dobrą emeryturę górniczą, zapracował na nią wieloletnią pracą w kopalni na Śląsku jako sztygar. Mógł pędzić dostatnie życie w mieście. Pustelnikiem został z wyboru, uciekając od współczesnej cywilizacji, techniki. Nie kontaktował się wówczas z ludźmi prawie zupełnie, poza chodzeniem co kilka dni do sklepu po żywność. Co w tym kretowisku robił? Rozmyślał o sensie życia, komponował piosenki, grając na gitarze, pisał wiersze przy lampce karbidowej, pił piwo.

Odwiedziłem oryginała kiedyś wiosną przed dwoma laty. Podziemne siedlisko było bardzo rozbudowane, miało kilka korytarzy, zamaskowanych wyjść na wypadek wrogich „gości”. Określenie, że mieszkał w norze, nie jest właściwe. Adekwatne było do pory zimowej. Na powierzchni, nad podziemną sypialnią urządził coś w rodzaju leśnego biwaku: stary namiot, pnie drzew spełniające rolę i stołu, i krzesel. Nadto pseudobasen z brudną wodą deszczową, jakieś budy ze starych desek, fragmenty płotu itp.

Z czasem, jak św. Szymon Słupnik *à rebours*, wylał ze swego podziemia i zaczął się pojawiać nawet w Częstochowie, w stroju dandysa! W jasnym, szerokim kapeluszu oraz z laską, gwoli elegancji. Zobaczyłem go kiedyś m.in. na spotkaniu literackim w „Gaude Mater”, gdzie czytał swoje wiersze. Brał też podobno udział w pewnym teatryku amatorskim w Częstochowie.

Poznał Grażynę. Dobrali się. Najmocniej łączy ich zamiłowanie do Sztuki (przez duże S) i artystyczne kształtowanie wszystkiego, co im wpadnie w ręce. Byłem też w ich mieszkaniu w Olsztynie. Wystrój folklorystyczno-kwiatowokorowy. Na ścianach ramy, w nich popartowskie kompozycje. Z byle czego i wszystkiego oraz Kapelusz (Pustelnika)... W ramie był zasuszony śledź, fragment ręcznej pralki i wiązanka polnego kwiecia. Ta ostatnia zmieniana co dzień. Na przeciwnej ścianie dwa sakralne obrazy Madonny. Dość już wyblakłe, zniszczone, przynajmniej dziewiętnasty wiek. Wnętrze ich kilku pokoi tak odbiegało wyglądem od przeciętnego mieszkania, jak ich mentalność, cele i pojęcie sensu żywota. Ofiarowując byłemu Pustelnikowi i jego muzie – Grażynie moją ostatnią książkę, zadedykowałem „**tym, którzy odważyli się być innymi**”. Wyznają wartości całkiem odmienne od pieniądza. Wyróżniają się w małomiasteczkowym środowisku całkowitym lekceważeniem

dóbr materialnych na rzecz estetycznego traktowania świata i jego przedmiotów, kolorytu swej działalności.

Ostatnio obydwójce zafascynowani teatrem (piszę w połowie czerwca). Cóż to za teatrum? W marzeniach, wyobraźni? Nie, w rzeczywistej chłopskiej stodole, z dwoma sąsiadkami po obu stronach. Tyle że nie siano lub słoma w sąsiadkach dla gadziny. Po lewej stronie scena ze szmacianą kurtyną. Po drugiej miejsca dla publiczności, czyli jutowe worki wypchane sieczką, trocinami i Bóg wie czym jeszcze. Na ścianach stodół, dla folkloru powieszono stare sprzęty gospodarskie: siekiery, szpadle, łopaty, żeliwne garnce, tłuczki kuchenne, baciska do zaprzęgów konnych, koła od furmanek, sierpy, kosa, cepy i inne przedmioty, których wartość najpierw malała, a teraz wzrasta, gdy stały się bezużyteczne.

Teatr w Stodole Stanisława Kałkusa (to imię i nazwisko z metryki) i Grażyny Kaczmarek stanowi swoisty konglomerat różnych, czasem przeciwstawnych elementów; wiejskich i miejskich. Owa bezstylowość, o dziwo, czyni w efekcie jednorodny styl. To jasne dla oglądających materialną stronę teatru oraz duchową (spektakle). W naszej kulturze przedziwne zjawisko. Tym bardziej, że realizacje sceniczne znajdują publiczność. Co ciekawsi przybywają z okolicznych wiosek, nawet z Częstochowy. Oczywiście, należy dodać, że to amatorszczyzna. Ale szlachetna, wyrosła z wyjątkowego umiłowania Sztuki i Estetyki oraz żywiołowej kreatywności, a także przywiązania i kultywowania autentycznego folkloru. Na scenie zobaczyć i usłyszeć można wszystko: muzykantów, załazek scenografii, niewyrobionych „aktorów”, różne instrumenty ludowe i stroje; czasem przemokniętego kota goniącego mysz albo spłoszonego hałasem. Sedno jednak mojego pisania o Kałkusie tkwi nie w Teatrze w Stodole, lecz w jego osobowości, apatii na tle współczesnego społeczeństwa, ogarniętego żądzą Pieniądza i Ważności. Dziś rzadko się spotyka takich ludzi, dla których k r e a t y w n o ś ć jest celem samym w sobie. Może niedługo skupi wokół siebie grupkę takich samych jak on Bożych Szaleńców.

Jest i aspekt kulturalno-społeczny. Działalność Pustelnika i jego Grażyny to coś niezwykłego w miasteczku. Teatr w stodole i ciągła praca? Niektórzy mieszkańcy Olsztyna pukają się w głowę. „Wariaci...” I siadają na ryneczku w parku (kilkanaście drzew i ławki) albo oglądają w telewizorach głupawe filmy sensacyjne. Dla innych w ładne, ciepłe dni weekendu woda, pi-



Stanisław Kałkus
(fot. archiwum)

wo stanowią tradycyjny nawyk. Upijają się w parczku, wśród zacierających lip i kasztanowców. Mało ich obchodzi, co wyprawia para odmieńców, którzy przygotowują na wieczór swoje dziwaczne teatrum. Powoli jednak grupka zainteresowanych rośnie z tygodnia na tydzień. Młodzież może tutaj doskonale się i bawić, i uczyć w małych zespołach piosenkarsko-instrumentalnych, próbować nieprofesjonalnego aktorstwa, eks-Pustelnik ma otwarte wrota stoły. Każdy może się sprawdzić.

Jaka jest forma tych przedstawień? Śpiew i pieśni chórów ludowych, próby kabaretowe (sketce, monologi), czasem ktoś z klasyki, np. Norwid. Nie chcę oceniać pod względem artystycznym – przecież to teatr amatorski, dziki. Wstęp wolny. Mało tego, obydwójce inicjatorów, po zakończeniu spektaklu, częstują publiczność wiejskim chlebem (pieczonym na modłę jeszcze przedwojenną), kaszanką, upieczonymi ziemniakami. A potem krąży olbrzymi kapelusz Pustelnika. Można weń wrzucić trochę grosza. Kto zechce.

Tadeusz Gieremski

O POLSKIEJ LITERATURZE WSPÓŁCZESNEJ BARDZO OSOBIŚCIE

Ludmiła Marjańska

Nie mam zacięcia krytycznego i chyba nigdy dotąd nie odważałam się pisać ani o literaturze współczesnej czy o poszczególnych pisarzach, ani tym bardziej na tak zasadniczy temat, jak stan współczesnej literatury. Zwłaszcza, że moja jej znajomość ogranicza się właściwie do poezji, którą czytam, o prozie głównie wysłuchując głosów krytyków czy komentatorów. Pomaga mi w tym wydatnie Pr. II PR, a zwłaszcza „Tygodnik Literacki” prowadzony przez Iwonę Smolkę.

Uważałam się zawsze (w pewnym sensie) za outsidera, może nawet za laika, którego przypadek? zamiłowanie? skłonności rodzinne? zmusiły do wypowiedzania się w formie poetyckiej, niegdyś najchętniej rymowanej. Nie nadażałam za prądami literackimi, do Związku Literatów weszłam późno i dość przypadkowo. Nie należałam też do żadnej grupy poetyckiej, która mogłaby mieć na mnie wyraźny wpływ. Moje życie płynęło chyba poza literaturą, którą chłonełam mimio woli, nie ośmielając się zabierać głosu. I choć niektórzy uważają to pewnie za rodzaj kokieterii czy nawet minoderii, mimo upływu lat nie uważałam się nigdy za osobę kompetentną, aby mówić serio o literaturze. Czy

podświadomie uważam ją za rodzaj sztuki, o której nie mam prawa się wypowiadać, czy może mam skłonność do przyjmowania spraw nawet poważnych z lekkim przymrużeniem oka?

Widocznie jednak osiągnęłam już taki wiek, że wypada zapraszać mnie do udziału w ankietach literackich. Ja zaś odważam się wypowiadać na temat, który traktowałam raczej jak pewnego rodzaju pożywkę dla umysłu, coś zbyt poważnego, aby analizować, krytykować, omawiać.

Stwierdziłam ostatnio, że ta „pożywka” stała się dla mnie jednak chlebem codziennym. Może dlatego, że to, co zawsze było dla mnie „prawdziwym życiem”, samą jego esencją - zniknęło, odeszło, a najważniejsze stało się dla mnie pisanie. Pisanie wierszy jako wypowiedzi moich stanów wewnętrznych, przemyśleń, może też wieloletnich doświadczeń. Późno dojrzewam do tego odkrycia, które ujawnia mi również, jak głęboko interesuje mnie nie tylko własna twórczość, ale i twórczość innych poetów.

Otóż cieszy mnie niezwykła różnorodność talentów i osobowości poetyckich. Przeszłam długą drogę od częstochowskich (z racji mego urodzenia) rymów do swobodnej formy wiersza, gdzie niepotrzebne są znaki przestankowe. Składając hołd Kochanowskiemu, podziwiając Mickiewicza, odnajdując mądrość w Norwidzie i piękno w Słowackim. Wracam do źródeł? A współcześni? Herbert, Różewicz, Szymborska – moi rówieśnicy – o tyle bardziej dojrzały, o tyle przerastający swoją poezją niezliczone rzesze piszących. Nie sposób im dorównać. Każdy z nich inny, własny, niepowtarzalny. A franciszkańskie wiersze księdza Jana Twardowskiego? Wymieniam tylko te cztery nazwiska. A przecież czasami w skromnym zbiorze wierszy znajduję nagle błysk poezji, w nużącym tematycznie, przegadany tomiku – mały klejnot. Co za niebywała różnorodność, ile osobowości! A także ile ambicji, pychy, pragnień, dramatów, że nie dorastamy...

Każdy wieczór autorski, każde spotkanie przynosi niespodzianki.

Wczoraj – czytał swoje wiersze znakomity krytyk, świetny, przyjazny poetom człowiek. Byliśmy pod wrażeniem głębi filozoficznych przemyśleń i przeskoków do kolokwialnych opisów. Dzisiaj – poranek w Salonie Pisarzy Biblioteki Narodowej, która otworzyła twórcom gościnne progi. Skromny poeta, nieśmiały i nieabsorbujący sobą, zmienia się na naszych oczach, czytając nieoczekiwanie pewnym głosem wiersze z kolejno wydawanych tomików. Spotkanie wywołuje zaskakujący oddźwięk. Znany krytyk, od lat śledzący poezję, wybuch gniewem: razi go niespotykana

dotychczas u tego autora zmiana dykcji, aluzje do polskich noblistów, krzyk, z jakim poeta wypowieda swoje wewnętrzne rozdarcie. Rozdarcie? Poszukiwanie? Własny dramat, który nie pozwala mu panować nad formą? Urazy wobec uznanych wielkości poetyckich?

Czy wolno poecie obnażać swoje wnętrze? Czy w naszym współczesnym, okrutnym świecie musi podporządkować się formie? Czy krzycząc z rozpacy może epatować wulgaryzmami? Czy poezja ma wypowiadać świat, który nas otacza, atakuje, zabija – czy ma wypowiadać wnętrze jednostki? Czy ma być filozofią, czy słowolejstwem? Czy możemy być sobą, czy mamy podporządkować się rygorom? Pytania bez odpowiedzi.

Po burzliwym spotkaniu zatrzymuje mnie nieznaną starszy pan i ni stąd ni zowąd wręcza mi swój tomik wierszy, ładnie, zapewne własnym sumptem, wydany: „Pomyślałem, że jeśli będzie ktoś, komu chciałbym go dać...”.

Czuję się wyróżniona zaufaniem i przerażona odpowiedzialnością. Jakże lekkomyślnie zabrałam głos po stronie umiaru! A teraz mam przeczytać kolejną garść wierszy poety-amatora, poety nieznanego, który chciał kogoś obdarzyć swoim zaufaniem. Chyba nie będę więcej ryzykowała, wypowiadając swoje zdanie na następnych spotkaniach. Będę słuchać głosów poetów, czytać ich wiersze i cieszyć się znajdanymi perełkami.

Zdaje się, że – jak mi się to zdarzało w przedwojennym gimnazjum – napisałam znowu wypracowanie nie na temat. Bo jaki jest naprawdę stan naszej literatury? Wielu piszących, tysiące wierszy, a odkąd można wydawać własnym sumptem (zresztą podobnie było w międzywojniu) – niezliczona ilość poetyckich tomików. Czy to dobrze, czy źle?

Na szczęście dla literatury oprócz wierszy mamy też znakomitą prozę i ta jeszcze znajduje wydawców, bo przecież autorów nie byłoby stać na wydanie jej za własne pieniądze. Ratując resztki optymizmu, o problemach finansowo-wydawniczych nie chcę tutaj pisać. Swoją drogą, czy skromny poeta, autor kilku wydanych zbiorów wierszy, nie ma prawa zaskakiwać nas swoją ujawnioną nieoczekiwaniem przemianą wewnętrzną?

MŁODZI KONTRA STARZY

(Poeta X)

Ostatnio słyszałem wiele głosów narzekających na brak dyskusji pokoleniowej w środowisku częstochowskim. Po dociekliwych poszukiwaniach znalazłem zarodek tegoż dyskursu na łamach nieocenionej prasy. Pozwoliłem sobie przytoczyć nie-

które opinie, aby zestawić obie strony okopów i ich racje. W kwietniu br. w „Kulturze” Mateusz Szkop napisał: „Do głosu dochodzą właśnie młodzi poeci, jeszcze studenci, którzy są już po – lub tuż przed – debiutem książkowym. To od nich będzie zależało przyszłe miejsce Częstochowy na poetyckiej mapie Polski. (...) Biorą sprawy we własne ręce: chcą pisać i piszą, chcą czytać – czytają, ale kiedy dochodzi do sformułowania jakiegoś manifestu, zasad, wyznaczników, kiedy trzeba głośno mówić, okazuje się, że mówić nie można. Dlaczego? Brak silnego «starszego» pokolenia, wobec którego można by wytoczyć swoje działa i rytm słownej polemiki, określić swój byt – to główny powód krótkowzroczności tych młodych poetów”. Mateusz twierdzi też, że wszystko jest skostniałe i odpowiedzią na ten stan rzeczy jest happening, który proponuje jego grupa.

W czerwcowej „Gazecie Częstochowskiej” Waldemar M. Gaiński – przedstawiciel starszego pokolenia – odpowiedział: „Okazało się, że młodych piszących częstochowian, oprócz mocno problematycznych więzi towarzyskich, nic nie łączy. Nic. Ani poetyka, ani tzw. przeżycie pokoleniowe. Nic. Mimo w miarę regularnych spotkań w pubach, mimo zawiązujących się *ad hoc* i równie szybko rozpadających się sytuacyjnych grup i grupiek poetyckich. Dużo natomiast mówiono o... elektronicznych nośnikach i pieniądzach, zdobywanych na kolejne tomiki. (...) Reszta siedziała i milczała, słuchając wypowiedzi jak Świnka Piggy grzmotu. Reszta chyba w ogóle niewiele miała do powiedzenia. Niestety, w poezji też”.

Jak widać z powyższych cytatów, młode pokolenie poetów nie dostrzega starszych poetów albo traktuje ich jak archaiczne skamieliny z epoki jurajskiej, ponieważ nestorzy niewiele osiągnęli i nic nie znaczą na literackiej mapie Polski. Nie są dla nich autorytetem, który by można adorować lub atakować. Nie mają także wspólnego, grupowego języka. Ot, taka miejscowa osobliwość, zlepek amatorów pióra. Starsi patrzą na młodszych z powątpiewaniem, wytykając im nieporadność, brak idei, wspólnego znaku rozpoznawczego, zagubienie. Cel ich starań jest cynicznie płaski: młodzi uczestniczą w wyścigu szczurów po pieniądze i tomiki, jakby ich ilość miała jakieś znaczenie. Te dwa spojrzenia są bardzo skrajne (łączy ich wszystkich brak jedności) – i jedni, i drudzy mają siebie nawzajem za nic, nie dostrzegają u przeciwnika wartości, które mogłyby łączyć, doprowadzić do wspólnych inicjatyw. Przecież poezja jest językiem uniwersalnym. Starsi uważają, że stoją na piedestale i nic już nie muszą robić (oprócz trepowania młodych kotów),

dla młodszych piedestałów nie ma i wszystko można osiągnąć przez internet. Barięą nie jest pokolenie, lecz serwery i portale. W ten sposób rozmywa się dyskusja pokoleniowa – w morzu ogromnych możliwości sieci, gdzie każdy na własną rękę może coś osiągnąć, coś co, niestety, inni niekoniecznie zauważą w nadmiarze informacji. Są to przeważnie drobne, lokalne sukcesy, bo giganta, który startowałby do nagrody Nike albo Trakla u nas nie widziano. Poetycka Częstochowa przypomina trochę ławicę pretensjonalnych i egocentrycznych małży, większych i mniejszych, ale jednakowych gatunkowo, wśród których kolorowa meduza mogłaby zrobić karierę. Zastanawiająca jest też niechęć weterana oldbojów – W.M. Gaińskiego, do elektronicznych nośników, bo wskutek recesji na rynku prasowym niedługo większość magazynów poświęconych kulturze będzie dostępna tylko w necie i tam się przenieś całe życie literackie (to ogólnokrajowe), bo kultura literacka, jak się okazało, jest mało komercyjna. Internetowe podziemie grozi wszystkim. Jego zajadłe i pieniackie ataki na nieliczne ocalałe czasopisma świadczą o zaniku świadomości czasu i instynktu samozachowawczego. Młodsze rekinki go nie tracą... Czy tułanie się ze swoim tomikiem po sklepach z tanią książką jest godne wielkiego poety? Może lepiej założyć swojego bloga?

Czy brak wspólnego pokoleniowego głosu jest grzechem? Jeżeli taki nie istnieje, nie należy go chyba na siłę formułować. W ubiegłym roku były próby określenia nowego pokolenia na łamach „Gazety Wyborczej” – słynna „Generacja Nic” Kuby Wandachowicza, która rozpętała dyskusję o kibolach, blockersach, hip-hopie i karierowiczach (roczniki 80’). Na tej fali wypłynęła maturzystka Dorota Masłowska z przeciętną książką „Wojna polsko-ruska pod flagą biało-czerwoną” (braną mylnie za dokument wojny z bolszewikami w roku 1920). Dyskusja jednak wykazała, że to najmłodsze pokolenie jest niespójne, leniwe, nie ma nic do powiedzenia, interesuje je tylko kasa i rozrywka (konsumpcja). Socjologowie tłumaczą, że brak perspektyw rozwoju w naszym kraju wpływa na takie postawy, że to nasz kryzys produkuje „stracone pokolenie”. Jednak bunt i frustracja przejawia się najmocniej w subkulturach i muzyce, natomiast żaden ślad „dołka” nie dociera do poezji. Być może poeci są bogatymi

ludźmi, którzy mogą sobie pozwolić na nastroje i autokreację. Możliwe, że spadek poziomu wykształcenia zmniejsza liczbę ludzi piszących i czytających. Jak na razie świat młodych poetów w Częstochowie jest hermetyczny i odcięty od problemów szarej i groteskowej rzeczywistości. Może poezja jest narkotykiem, ucieczką od tej pospolitej chały, która nas zalewa zewsząd? To tylko moje domysły. Poeci mają swoje problemy z kasą i promocją, i jeżeli już zakładają jakąś grupę, to tylko dlatego, jak pisze Wiesław Paszkowski z „Dziennika Zachodniego”, że „(...) stado ośmiela młodych, łatwiej wejść do literatury w grupie. Łatwiej przełamać płotek, weselej brykać i więcej wzburza się kurzu. Potem jednak zaczyna się to, co sami twórcy klubu przyznają: każdy sobie wiersze skrobie”. Na początku silny duch korporacjonizmu, potem introwertyczne zamykanie się w światach osobistych przeżyć, wałkowanie swojego ego plus męczenie nim znużonego odbiorcy. Lepiej niech skrobią wiersze niż rzepkę. Młodzi poeci pragną się stąd wyrwać, zacześć się gdzieś w większym mieście. Byle nie tu. Tu wszystko jest złe, niepotrzebne i źle się kojarzy z rymami częstochowskimi. Tu można się skończyć, tak jak to napisała Wiola Grzegorzewska we wspomianej już „Kulturze” (gdzie nasi młodzi z radością obsmarowują swoje miasto): „Więc po sprzedaniu czterech egzemplarzy, Poeta X rozdał swoje dzieło kumplom i rodzinie. Jeśli nie wyleciało mu to z głowy, zaniósł tomik do redakcji dwumiesięcznika literackiego „Aleje 3”, a łaskawi krytycy, zgodnie z panującą opinią, że debiutanta nie należy krzywdzić, bo a nuż coś z niego wyrośnie, wysmarowali przychylną recenzję. Tu zwykle kończy się żywot debiutu książki poetyckiej. Wiersze pieczołowicie spisywane łądowały znowu w szufladzie”. Może nadopiekuńczość naszego miasta w stosunku do poetów szkodzi im samym? Może nie dawać im pieniędzy? Może to nadprodukcja regionalnych wieszczów?

Moja diagnoza jest taka: dopóki nie będzie na ulicach barykad i jakiejs wielkiej rozróby, którą zapamiętają wszyscy, będziemy się taplać w sadzawce banału i błałości, które są cechą pokojowych czasów. Malkontenci i krytycy tego chcą, bo nie ma o czym pisać, ale ja krzyknę: **NIECH ŻYJE BANALIZM!!!** I trwa jak najdłużej. Starsi i młodszy poeci niech się martwią, dlaczego ich wspólną cechą ponadpokoleniową jest brak wspólnego języka i entropia środowiskowa. A może ważniejsza od tych sporów jest sama poezja, jej istota, niepowtarzalność i piękno (ewentualnie brzydota) samo w sobie? Może nie ma żadnej generacji? Nie ma sprawy?

rys. Wojtek Kulesza
„Brudnica nieparka
zmutowana”



Tadeusz Gieryski

stoi chłopiec i sika
złocistym łukiem
ma w sobie całą młodość
i dziurawe pończochy na nogach

stoi chłopiec i sika
patrząc na słońce
które jak czerwona piłka
odbija się od horyzontu

był tak wspaniale szczęśliwy
że dziś zgodziłbym się być
jego złocistym łukiem

sztachety płotu
jak strzelający kulomiot
za tym płotem jesteś ty
moja udręka
moja tęsknota
tylko furtka nie strzela
nikt poza nią nie wychodzi

Tulia

Jutro wyjdiesz z katedry
między jedenastą a dwunastą.
Będę czekał za figurą św. Józefa
Z siekierą miłości,
aby drzazgi twych włosów
dotknęły ziemi,
a twarz patrzyła wprost w niebo.

Tulia jest wściekła,
gotuje się w niej żółć,
urodziła się przecież pod znakiem
tej barwy.

Jesteś wstrętny! – krzyczy
i ciska we mnie garścią
szafranowych drobin

Jej gniew wprawia w ruch
horyzont, który zaczyna wirować
wokół łagodnych, nadmorskich wydm.

Potem tarzamy się w ciepłym piasku
do pierwszej krwi miłości.

Arkadiusz Frania

* * *

pies
wlecze się jak
duża deszczowa chmura
którą Indianie nazywają *śmiercią*

* * *

siedzę na pniu
i moczę nogi w
rzece

na mleczu
jak na dywanie z
zielonych emiratów
usiadł motyl rusałka pawik

na strunach z gałęzi
wiatr komponuje leniwe melodie

* * *

po burzy

na czerwonych nitkach zmierzchu
rozwieszonych
między gałązkami topól
schną
jak skarpetki
głowami w dół
ptaki

* * *

w zduńskiej woli
na chłodnych ulicach wieczoru
szaman poezji
tadek zawadowski
szuka jednorożca
nocą z wilgotnej gałązki octobra
wróży słońce

w olsztynie (koło częstochowy)
rysiek sidorkiewicz
w lisich norach zmierzchu
rozbija jajka słów
żółtkami karmi nenufary rymów
z białek ubija bez

w częstochowie zaś
arek frania
wydziera różanopalcej jutrzence
ciepłe ciało tego wiersza

Sylwia Trojanowska*

Rozlany atrament uczuć

dostałam prezent
słowo
zapisalam je
wyblakł atrament,
tak bardzo się cieszyłam –
wtedy,
teraz
nawet nie pamiętam
co ono znaczyło

znudzony codziennością
człowiek
postanowił
odmienić
swoje życie –
popęnił samobójstwo

dla ciebie
zamknęłam oczy
pocałunek
dla ciebie
rozpięłam bluzkę
dotyk
dla ciebie
rozchyliłam uda...

jak magik
z kapelusza życia
samotna staruszka
wyciągała wspomnienia
– dobre sekundy,
złe godziny

daj mi spokój
odejdz
moja głowa
nie wytrzyma
dłużej
ciebie
– pęknie
tak, jak pękło serce

* *Częstochowianka. 25 lat.
Absolwentka Akademii Ekonomicznej
w Katowicach*

O wierszach Sylwii Trojanowskiej

Wiersze Sylwii Trojanowskiej, opatrzone wspólnym tytułem „Rozlany atrament uczuć”, świadczą o sprawności warsztatowej autorki, o przyzwoitym poziomie reprezentowanego przez nią rzemiosła poetyckiego.

Sylwia Trojanowska nie jest lirycznym gadałą, wiele tekstów w warstwie słownej charakteryzuje się ascetycznym wręcz zestawem. Wiersze: *** (opętany...), *** (rozbudzona słowem...), *** (rozpalenie...) czy. *Czasowniki* to zaledwie sześć, siedem słów zapisanych w kilku wersach. Przeważająca większość owych miniatur wpisuje się w tradycję liryki konfesyjnej, choć i nurt poezji lingwistycznej nie jest obcy autorce. Ta druga strategia znalazła swój wyraz zwłaszcza w *Przemijaniu* – konsekwentnie budowanej metaforze ludzkiej egzystencji.

System wartości wpisany w wiersze nie różni się od powszechnie wyznawanego. Prawda, miłość, zaufanie, szczęście – oto ideały, o które należy się upominać. Jej bohaterka liryczna, już to z pozycji obserwatora, innym razem bezpośredniego uczestnika sytuacji lirycznych, najczęściej wypowiada się w tematach relacji: kobieta – mężczyzna. Świat uczuć daleki jest jednak od ideału, zwłaszcza z winy tych drugich. Zawód miłosny pociąga za sobą konsekwencje na miarę końca świata: „jeśli on/nie dotknie/jej/nikt/niedotknie/jej/tylko/starość i osamotnienie”, ale stwarza też – paradoksalnie – nadzieję na nową księgę Genesis. Jej pierwsze rozdziały to wiersze: *** (*Cały mój świat...*), *** (*Mężu...*), *** (*dziękuję...*) i przede wszystkim *Podziękowanie*: „zawdzięczam wam wszystko/co mnie do życia pobudziło,/uszcześliwiło...”.

Życzę autorce, a mam prawo domniemywać, że bohaterka liryczna to porte-parole jej samej, aby trzeci od dołu wers *Podziękowania* był wersem końcowym.

Ryszard „Sidor” Sidorkiewicz

Wszystkim znajomym kobietom

Erotyki Tadeusza Gierymskiego

Częstochowska liryka miłosna jest kojarzona przede wszystkim z twórczością Haliny Poświatowskiej. Mnie też kiedyś urzekły jej zmysłowe, egocentryczne utwory pulsujące śmiercią. Nazywałam je „trenami erotycznymi”.

W tym roku w Częstochowie ukazał się nowy zbiorek miłosny, tym razem Tadeusza Gierymskiego, pt. „*Tulia*” – *erotyki**. Bohaterką poetyckiego cyklu jest tajemnicza tytułowa Tulia – to imię, rzadko spotykane w Polsce, kojarzy się z kulturą starożytną. (Tullia – córka Cyncero-na i rzymska królowa, żona Tarkwiniusza Pysznego, przychodzi mi też na myśl czasownik „tulić”). Można przypuszczać, że Tulia była realną osobą, może cudzoziemką? Jak wyjaśnić autor w posłowiu, po rozstaniu wyjechała do Chorwacji, a następnie wraz z mężem zamieszkała gdzieś nad Adriatykiem. Być może Tulia to wspólne imię kilku kobiet – symbol zauroczenia, miłosnej fascynacji, gorącej namiętności. Wskazywałyby na to dedykacja autora: „wszystkim znajomym kobietom poświęcam”.

W erotykach przemawia młodzieniaszek szukający miłosnych wrażeń, doświadczony kochanek i mężczyzna, który nie czeka już na nowe uczucie. Tak jakby autor zebrał utwory z wielu lat. Akt miłosny rozgrywa się na tle przyrody; najczęściej nad morzem: *Tulia rozmawia z morzem*, *** (widzę ze skarpy: idzie brzegiem morza). Mamy też w książce obrazki dosyć pikantne, niczym z poematu Apollinaire’a, np.: „Pokaż mi rozebraną siebie do zachwyty/wraz z pagórkiem Wenery i ciemnym trójkątem”. Niektóre wiersze są szkicami spisanymi „na gorąco”. Większość odbieram jako sercowe impresje. Wszak intymnych wrażeń nie da się ująć w gotowej formie: „moja miłość – ziemską gorącą/jak sypki piasek”. Jeszcze lepiej napięcie między zakochanymi oddaje milczenie, bo o miłości można czasem mówić „wierszem bez jednego słowa/przecież cisza bywa najgłośniejsza”.

Tomik Tadeusza Gierymskiego urzeka mnie innym spojrzeniem na kobietę, pełnym szacunku i jakiejś dziwnej melancholii. Wykreowany portret Tulii jest trochę niedzisiejszy, a przez to intrygujący. Mam jednak pewne zastrzeżenia. Otóż, co ma wspólnego z Tulią i wierszami miłosnymi obraz sikającego chłopca? Taki bowiem liryk zamyka tomik (*** *stoi chłopiec i sika/złocistym łukiem*). Trochę mi ten utwór zdeformował wizję zakochanych. Nie podoba mi się kompozycja. Na piątej stronie czytamy: „nie piszę erotyków/już dawno nie kochałem/więc żyję z przyzwyczajenia/i żyję jak we mgle”. Ja umieściłabym taki wiersz zdecydowanie na końcu książki. Ponieważ na początku zniechęca czytelnika do dalszej lektury bądź co bądź erotyków! Zdecydowanie też nie podobają mi się wiersze rymowane. Brzmiały jak

juwenilia skamandrytów albo zapiski podlotka w zeszytach: „popatrz Jasna, usłysz wodę, /zaurz w pianę ręce młode”.

Oczywiście nie należy się zrażać kilkoma krytycznymi uwagami. W zbiorze Tadeusza Gierymskiego znajdziecie liryki bardzo wartościowe, np.: *Tulia zakłada pończochy* (jak z obrazu Toulouse-Lautreca), *Pocztówka*,*** (*nasze usta są kuzynami...*) itd. Jego ciepłe wiersze mogą być antidotum na zredukowane do minimum „esemesowe” komunikaty miłosne.

Wioletta Grzegorzewska

* „Tulia” – erotyki. Wydawnictwo Unternet, Częstochowa 2003

Zbędny debiut

„Czytaj Burz Buduj” – zapożyczenie z nazwy dawnej formacji muzycznej Józefa Skrzeka „SBB” („Szukaj Burz Buduj”) jest hasłem serii wydawniczej oficyny „Unternet”, którą założył Marcin Paruzel (do niedawna pracownik wydawnictwa „Dom Książki”). Trzech wydanych w tej serii książeczek formatu kieszonkowego na razie nie można kupić nigdzie poza wydawnictwem, ale być może (czytaj: mało prawdopodobne) w bliżej nieokreślonej przyszłości trafią na półki księgarskie. Dwie pierwsze to tomiki poezji Cezarego Krasickiego („Hustler”) i Maksymiliana Flawiusza Sieradzkiego (PSL), trzecia to zbiór opowiadań wydawcy pt. „upadek cywilizacji europy wschodniej”. Po pierwsze: jakiej cywilizacji? Czy kiedykolwiek istniała cywilizacja wschodnioeuropejska? Przecież wiadomo nie od dziś, że żyjemy się tylko naśladownictwem tego, co wyprodukował i wymyślił Zachód. Pompatyczna prowokacja czai się więc już w tytule. Autor miał chyba na myśli wszystkie dziwaczne osobliwości kulturowe, jakie miały miejsce w tej części kontynentu przez ostatnie sto lat. W tle mamy carską Rosję (szczególnie Petersburg vel Piotrogród), czasy realnego socjalizmu, ponure lata 80., fantastykę techniczno-naukową rodem z wczesnych książek Lema, która odeszła do lamusa około 20 lat temu. Jest też daleka przyszłość, w której Unia Europejska jest tworem ruskopochodnym, a stolicą Carogród (dzisiejszy Sztambuł) z miłościwie panującym carem Aleksandrem Wspaniałym („Demo”). Brrrr... Taki horror mógł się zrodzić tylko w głowie zatwardziałego słowianofila, jakim jest M. Paruzel. Dodam, że Polska figuruje w książce jako „Prywisłan-skij Kraj”, Polacy są zakompleksionymi prowincjuszami ze stepów, a Polki najczęściej nie-

udolnymi prostytutkami w carskich burdelach. Niechęć do swojego narodu jest widoczna w każdym akapicie, a zamiłowanie do Mateczki Rasiji przyprawia o mdłości. Mnożenie światów alternatywnych jest teraz modne (ostatnio choćby M. Wolski w „Alterlandzie”), ale i w tym gatunku trzeba znać umiar. Historia o powieszeniu Marszałka Piłsudskiego jest niesmaczna. Chociaż z drugiej strony myślę, że proza Marcina miałaby duże szanse na popularność w Moskwie i w tamtą stronę powinien kierować swoje wydawnicze kroki. Nic tu po nim. Przez Polaków może nie być dobrze zrozumiany, a wręcz odrzucony, jako ptak plugawiający swoje gniazdo. W samym zabiegu budowania świata równoległego nie ma nic złego. Ogólna wymowa jest obraźliwa.

Wśród 26 opowiadań jest kilka starych, znanych jako teksty sztandarowe dla głośnego kilka lat temu trendu młodoliterackiego – Banalizmu („Koniec rozdziału pierwszego”). Niestety, tych jest niewiele, w większości przewa-



za cykl krótkich opowieści z życia statku kosmicznego „Stanisław Lem” (kolejna prowokacja), które są zwykłymi produkcyjniakami (wzór z lat 50.) z wyścigami pracy, ludźmi dobrej roboty, czynami spofecznymi, podstawowymi komórkami partyjnymi (POP), sekretarzami i cenzurą. Brakuje tylko Wincentego Pstrowskiego i 200% normy. Wyjątkiem pozytywnym z tej tematyki jest kryminał „Hop w podprzestrzeń” o złodziejach gwiazd (tu znowu wyraźne przytyki antysemitki w kierunku Isaca Asimowa). Maniera budowania bohatera wyprowadza mnie z równowagi. Kobiety to przeważnie słodkie, niezdecydowane idiotki, mantrujące kilka schizofrenicznych partii, a mężczyźni to chamowate prymitywy o mentalności uczniaka z zawodówki. Stwarzają pozorne wrażenie postaci z krwi i kości, ale wszyscy są, niestety, jednakowi i na jedną miarę strugani. Denerwująca jest też technika zapisywania podsłuchanych dialogów, często bezsensownych („Oziębłe kobiety”), bo nic z nich nie wynika, poza zabawą słowem w obrębie tekstu o dupie Maryni. Rytująca jest maniera klecenia pseudonastroju urywanymi zakończeniami, mechanicznym poezjowaniem w stylu Żeromskiego, bo w zabiegu tym wyczuwa się kpinę z XIX-wiecznych i młodopolskich (czytaj: staromodnych) kanonów pisarstwa. Nic tu nie jest na poważnie i może o to chodzi – o pajacowanie. Z podkręcanych wąsów pradziadka i gorsetu prababci (vide okładka). Niezdarność i infantylność w kleceniu zdań jest widoczna na każdej stronie, że przytoczę kilka łagodnych przykładów:

„Och, jakże chciałby choć musnąć chwytakiem ten z lekka zaróżowiony policzek (...)”.

„Mógłbym teraz odbywać zbliżenie płciowe, a muszę w tym czasie czytać jakieś pierdoły (...)”.

„Dziewczyna miała szczęście, że przydzielono jej pokój prawie w samym dziobie «Stanisława Lema» (...)”.

„A w bufecie przy pierożkach długo opowiadała o seledynowych wiciowcach i błękitnych szynszakach (...)”.

„Nareszcie przejaśniło się i «Stanisław Lem» wysunął swe macki (...)”.

„Zupełnie jak wtedy, gdy sześć lat temu u podnóża schodów wejścia do akademii zsiadł się w majtki (...)”.

„Może dostać całusa, może też odbyć zbliżenie płciowe (...)”

Mam wrażenie, że Paruzel, który publikuje swoje historie od ponad 15 lat (zaczynał w pod-

ziemiu WiP-owskim), a dopiero teraz zdobył się na debiutancką książkę, swoje najlepsze opowiadania spalił w piecu kaflowym, a do „upadku...” wrzucił jakieś popłuczyny i trochę je przemieszał z wartościowymi kawałkami. A może to upadek Paruzela vel J. Cienkiego vel M. Ptaka czy jakoś tam byle jak? Na domiar złego wszystko poprzetykał postmodernistycznym i eksperymentami („Jejku”, „Spoko”, „Wolswagen”), gdzie bełta dialogami w jedną i drugą stronę, co przypomina słuchanie popsutej kasety od końca. Dla picu dodaje zapaszek anarchizmu i zadymiarstwa, żeby to takie mocne było i dobrze zorientowane politycznie („Donald go houm”). Jakby nie pisać o tej książce, a pisać głównie źle, warto ją sobie przeczytać, choćby po to, żeby zobaczyć, jak nie należy pisać. Marcin nie traktuje czytelnika poważnie i „robi sobie z niego jaja”. Za pomocą kilku stereotypów, po które wstyd sięgać, buduje świat socjalizmu, jakby nie było roku 1989. Zgadzam się, że nostalgia za PRL-em w narodzie jest silna (M. Sieprawski świetnie to opisał w „Miasteczku z ludzką twarzą”), ale na takie propagandowe agitki to już nie te czasy. Co mówi autor w mizoginicznym wywiadzie z samym sobą?

– Życie?

– Cóż jest życie? Szaleństwo i spid, adrenalina i bezczelny głupi śmiech. Oto jest życie, prawdziwe.

Zamiast głupiego rehotu wolałbym w wydaniu Paruzela – również dorywczego dziennikarza „Hustlera”, a wcześniej innych gazet – dobrą, współczesną powieść obyczajową, bo ma dar obserwacji środowiskowej, pamięć językową, literacki sznyt, łatwość budowania fabuły. Jednak po dobrym wstępie i rozwinięciu rozwala ją, kładzie na łopatki, delektując się samą techniką korzystania z warsztatu literackiego, żeby wszystko tylko powierzchownie wyglądało jak należy, łatwością pisania, rozwalaniem akcji. Czy chodzi mu tylko o psucie literatury? Efektem jest brak solidnego rzemiosła i wątpliwy, pseudoawangardowy artyzm, pobieżnie zmajstrowane ćwierćświaty. W opowiadaniu „Nowy wspaniały świat” otwarcie się przyznaje, że oszukuje czytelnika strzępkami realizmu po to tylko, żeby mu wcisnąć kit. Za mało w tej literaturze „burz i buduj”, za dużo psuja i pospolitej chałki. Jeśli kto głupi, niechaj tę grafomanię czyta. A Marcin niech pracuje i zostawi za sobą przeszłość undergroundowa w krótkich spodenkach, albowiem nie każdy Marcin jest od razu Świetlickim. (sb)

Marcin Paruzel EDU*

– Woda przez tysiące lat, spadając tak kropla po kropli, wydrążyła litą skałę. Przyjrzyjcie się dobrze, co zdziałała najzwyczajniejsza woda, kropla wody.

– A człowiek, panie profesorze?

Rozglądam się, która to powiedziała. Nie, to nie Lidka Majchrzak. Chociaż miałem takie wrażenie, ściany jaskini silnie zniekształcają brzmienie głosu. To ta, no, ta Bożena, ta Szczygieł.

– O co chcesz zapytać?

– Ile czasu człowiek by potrzebował, żeby tak wydrążyć w tej skałę?

– Hm. To zależy, jakimi narzędziami by się posłużył.

– A jeśli dynamitem i młotem pneumatycznym, to dałby radę w jeden dzień, prawda?

– Prawda, ale to nie ma nic do rzeczy.

– No, ale jeśli człowiek może to zrobić o tak, raz dwa, to po co to gadanie o gigantycznej sile kropli wody. Przez tysiące lat każdy głupi potrafi. Myślę, że to nic nadzwyczajnego.

Pozostałe dziewczęta chichoczą, mam ja problemy z tą Szczygieł.

– Jeżeli twoja elokwencja jest tak rozwinięta, to powiedz mi Szczygieł, jakie rodzaje skał powstały w wyniku aktywności wulkanicznej. No, czekam.

– Bazalty.

– Czy to wszystko, co wiesz na ten temat?

– Nie mieliśmy zapowiedziane, że na wybieg będzie sprawdzian.

– Słusznie. Przygotuj się na poniedziałek, dokładnie sprawdzę twój poziom wiedzy.

Dziewczyny nadal chichoczą, ale teraz to śmieją się z tej Szczygieł, poszturchują się łokciami, a ona już się wstydzi, już ma rumieniec na pół twarzy. Ale mnie nie przeprosi, taka już jest.

PROLOG

Ach, cóż za piękna pogoda! Prawdziwe lato! Siedzimy przy stolicku pod parasolem, przed kawiarnią. Marek powoli popija piwko, a my z Krzysztofem po małej kawce. Jest naprawdę bardzo przyjemny dzień, samo południe.

Popijamy w milczeniu, palimy, leniwie spoglądamy na ludzi idących ulicą. Jest bardzo ciepło, przechodzi dużo ładnych dziewczyn, lekko ubranych. W pewnej chwili widzę prawdziwy okaz zoologiczny – ulicą idzie sobie sta-

ruszek w wojskowym mundurze. Czapka rogatywka, oficerskie dystynkcje, na piersi rzędy medali. Obwieszony tymi medalami jak na defiladzie. Idzie dumny, wyprostowany, bardzo z siebie zadowolony. Właśnie zniknął z pola widzenia, za rogiem budynku.

– Trep! – wołam do chłopaków, bo właśnie o czymś leniwie rozmawiają, nie patrzą na ulicę.

– Gdzie?

– Przeszedł, jeszcze go dogonimy!

Zrywamy się od stolika, zostawiając kawę, piwo i papierosy, biegniemy. Jest! Jest, zabiegamy mu drogę. Ja stoję naprzeciw niego, Marek z prawej, Krzysztof z lewej.

– No i co, cwaniaczkę? – mówię.

– Gnębiłeś rekrutów? – Marek kładzie mu rękę na ramieniu.

– Byłeś na wojnie? – rzuca Krzysztof.

– Strzelałeś do ludzi? – znowu pyta Marek, pochylając się nad staruszką.

– Ale panowie...

Kilka szybkich ciosów, leży. Poprawka z kopa. No, w porządku. Wracamy do naszego stolicka. Pogoda dzisiaj jest naprawdę piękna.

– No to co, po piwku? – mówię.

– Po piwku – godzą się chłopaki.

Przynoszę po piwku, palimy. Marek z figlarnym uśmiechem wyciąga nad stolikiem dłoń, na której leży jakiś medal, czy raczej krzyż, z kawałkiem wstążki.

– Pamiątka. Zgadnijcie, skąd mam?

W mgnieniu oka podbijam jego dłoń, pamiątka leci gdzieś wysoko w powietrzu.

– Wypieprz to gównem – mówię. – No, to po piwku.

– Po piwku.

– No to po piwku.

* Opowiadania z tomu „Upadek cywilizacji wschodniej Europy”

Aleksander Wierny KIEDY RODZI SIĘ BÓG

W roku 1878 podczas pieszej wędrowki z Mediolanu do Brindisi Rimbaud doznał udaru słonecznego. Przewrócił się na piaszczystą drogę i stracił przytomność. Gnany gorączkową potrzebą zmiany, godny nowych krajobrazów, miejsc i ludzi, zwiedził wcześniej pół Europy. Nie miał grosza, więc prawie wszędzie docierał pieszo. Rodzinne Charleville w Ardenach służyło mu za bazę wypadową, tutaj też na ogół pisał. Zanim powaliło go słońce, zdążył stworzyć już wszystko – nieletni jasnowidz,

który na zawsze zmienił literaturę. Leżąc w kurzu włoskiego traktu, nie myślał jednak o poezji, zemdał i w roku 1860 wystawił głowę nad taflą lodu. Zobaczył Jeana.

Miał jasne włosy i bladoniebieskie spojrzenie. Był dziesięć lat starszy od Rimbauda. Mieszkańcy Charleville odnosili się do niego tak, jak zazwyczaj traktuje się odmienca, który nie sprawia kłopotów – nie zauważali go i wykorzystywali jednocześnie. Jean nie mówił i nikt nie potrafił wyjaśnić, dlaczego milczy. Nie był głuchy, rozumiał, co się do niego mówi, ale nie odpowiadał. Skrupulatnie wypełniał polecenia rodziców, pomagał sąsiadom, jeśli zaszła taka potrzeba. Potrafił naprawić wszystko. Dach, cieknące wiadro, płot. Umiał odebrać poród krowy, podkuć konia, zaorać, zasiać i zebrać plony. Kopał też studnie.

Rimbaud miał wtedy sześć lat. W wigilię Bożego Narodzenia znudziła go świąteczna krzątania matka, która zawsze dbała, żeby wszystko przebiegało tak, jak przebiegać powinno. Kiedy kilka lat później jej mąż, kapitan Frederic Rimbaud, ostatecznie porzucił rodzinę, podawała się za wdowę, żeby uniknąć krępujących pytań.

Rimbaud poszedł nad skutny lodem staw. Pierwszy raz zrobił coś, czego matka zabraniała – stanął na lodzie. Nic się nie stało, więc śmiało postąpił kilkanaście kroków. Tafla załamała się z cichym zgrzytem. Rimbaud znalazł się po szyję w wodzie. Otoczył go biały, sterylizowany krajobraz, zimno przeniknęło do wnętrza. Zachłystnął się nim i nawet nie krzyczał. Małe dźwięki nie znalazły oparcia, ześlizgiwały się z poszarpanej krawędzi przerębla. Stracił nadzieję i pogodził się z lodową otchłanią, która miała go pochłoniąć. Z letargu wyrwał go głos Jeana. – Daj mi rękę – usłyszał. Rimbaud odwrócił głowę. Jean przezornie rozciągnął się na lodzie, żeby rozłożyć ciężar ciała, i wyciągnął do niego dłoń. Rimbaud podał mu zdrętwiałą z zimna rękę i powoli wynurzył się z topieli. Nigdy się nie dowiedział, dlaczego tamtego wieczora Jean poszedł nad staw, czemu nie skupił się na oczekiwaniu na pierwszą gwiazdę, która zgodnie z tradycją zwiastowała narodziny Jezusa. Jean nigdy nie odezwał się już do nikogo.

Przez całe lata Rimbaud, który podniósł się w końcu z włoskiego kurzu, chciał powiedzieć coś równie istotnego. Dziko pragnął, żeby jego słowa były dla kogoś tak samo ważne, jak dla niego trzy wyrazy wypowiedziane przez Jeana w zimowe popołudnie. W tajemni-

cy wysłał do Eugeniusza Napoleona, następcy tronu, który właśnie przystępował do pierwszej komunii, poemat napisany łacińskimi heksametrami. Sprawa wyszła na jaw i publicznie pochwalił go dyrektor gimnazjum. Później zdobył pierwszą nagrodę w poetyckim konkursie dla uczniów pięciu departamentów. Przeskakiwał z klasy do klasy w oszałamiającym tempie. W końcu porzucił dom i związał się z Verlainem, poetą uznanym i docenianym, wierząc, że wykradnie mu tajemnicę.

Nie udało się.

Rimbaud porzucił poezję, którą zdążył zmienić na zawsze. Prawie sto lat po jego śmierci wietnamska mistyczka ogłosiła go Samolistnym Systemem Słonecznym. W roku 1968 paryscy studenci podczas młodzieżowej rewolucji okrzyknęli Rimbauda swoim patronem. Albert Camus będzie stawiał jego poetycki bunt przeciw wszystkim i wszystkiemu, zarzucając jednocześnie, że zaniechał poezji i wyjechał do Hararu w Afryce handlować bronią, a zatem poddał się i podporządkował konformizmowi.

Tymczasem Rimbaud zrozumiał, że jego wiersze nigdy nie będą miały mocy równej kilku prostym słowom Jeana, choć dysponuje talentem, który nie ma sobie równych. Pod oslepiającym słońcem Abisynii organizował karawany i wyklócał się z lokalnymi władzami. Nie miał nawet czterdziestki, kiedy zabił go rak. Do końca nie pojął jednak, że same słowa nie wystarczą, nie znaczą, dopóki nie poprze ich wyciągnięta w najważniejszej chwili dłoń.

Dopiero wtedy rodzi się Bóg.

Tadeusz Gieryski POMARAŃCZOWY NAMIOT

Sumienie, według katolicyzmu, jest rdzeniem duszy, aczkolwiek czasami może być uśpione na amen. Trzeba dużego wstrząsu, aby wyrwać je z letargu. Bywa, że sen jest śmiertelny i nic tu nie pomoże. Znane są określenia: sumienie nieczyste, skalane, niespokojne, głos sumienia, czuć wyrzuty sumienia, które dręczą, gryzą, nurtują, szarpią; mieć kogoś na sumieniu, ciąży na sumieniu, być w rozterce z sumieniem, zabić, zagłuszyć sumienie itp.

Co te dywagacje o sumieniu mają wspólnego z pomarańczowym namiotem?

Jeszcze przed pięcioma laty, kiedy miałem zdrowe nogi, nawet zimą godzinami wałęsałem się po olsztyńskich polach, lasach, zagaj-

nikach. Bezpośredni kontakt z naturą sprawiał mi radość.

Wtedy było podobnie. Po kilkugodzinnym łażeniu wracałem do Olsztyna nie szosą, lecz lasem i polami, najpierw po wzniesieniu, pokrytym gęstym, iglastym, choć niskopiennym drzewostanem. Śnieg był nieduży, ale sięgał do łydek. Ponadto musiałem odgarniać zaśniewane gałęzie, aby móc posuwać się naprzód. Był piękny, słoneczny, mroźny dzień. Godzina południowa. Z góry kapąły złote krople słońca. Z czasem drzewa zaczęły coraz bardziej gęstnieć, aż stało się prawie mroczno. Nastąpiła w mej świadomości, dotychczas pogodnej, raptowna zmiana nastroju. Skądś, od serca rozpełza się niepokój. Rośnie, przechodzi w bezprzedmiotowy lęk, jakbym szedł po zaminiowanym terenie lub gdyby za sekundę miał spaść na mnie jakiś przedpotopowy gad. Przystaję, rozglądam się dokoła. Nic. Ani człowieka, ani zwierza. Ale od strony, dokąd mam iść, sunie odczuwalna fala przerażenia. Gdzie jej źródło, we mnie, czy na zewnątrz mnie? Nie panikuj, weź się w garść, idź naprzód!

Staram się więc iść cicho, ostrożnie, co w zimowych butach i po śniegu przychodzi mi niełatwo. Dalej nic nie widzę, nic się nie dzieje, skąd przeto ta cicha groza wiejąca mi w twarz niczym wiatr? Zbliżający się atak serca, zapaść psychiczna? Nie, to coś strasznego czai się poza mną! Po kilkunastu krokach w biało-czarnym buszu widzę słoneczne prześwietlenie oraz coś kolorowego. Jeszcze bliżej... Na niezadrzewionym, niewielkim wyrębie – pomarańczowy namiot. Zimą rozbity na śniegu? To od niego wionie przerażenie, które sparaliżowało psychikę; i to dziwne, że już wtedy, gdy namiotu jeszcze nie zobaczyłem... W człowieku ucywilizowanym wciąż siedzą resztki instynktu zwierzęcego. Ale gdzie tu dramat sumienia? Wróćmy więc do lasu obcukromanego nocną śnieżycą.

Stoję nieruchomo i wlepiam oczy w namiot. Natłok błyskawicznych, beładnych myśli: bandyci, dezercerzy, namietni kochankowie? Biwak co najmniej dwuosobowy. Szczelnie zamknięty, żadnych przy nim śladów. Moje spojrzenie trwało sekundy. Groza wisiała nad namiotem, buchająca zeń. Bezszelestnie, mimo śniegu, zacząłem się wycofywać. Potem biec, serce tłukło, gonił mnie jakiś czarny ptak. Wyleciałem na drożynę, wiodącą ku Olsztynowi. Jasność, słońce wymyły nadrealny, metafizyczny lęk.

W powracającym uspokojeniu dotarłem do miasteczka. Odwiedziłem, jak zwykle, gospodę

„Pod Zamkiem”, aby wypić szklankę gorącej herbaty. Ten miły spółdzielczy lokal za kilka miesięcy został zamknięty, zlikwidowany, a jeszcze później cały budynek wyburzony. Dzisiaj zostało po nim gruzowisko i dziura, jak po wyrwanym z korzeniem zębem.

Szybko zapomniałem o nieprzyjemnej leśnej przygodzie. Aliści po trzech dniach pomarańczowy namiot pojawił się w miejscowej prasie. Młody grotolaz (student) penetrował samotnie jaskinie w Sokolich Górach. Obładowany sprzętem, dość ciężkim, wyszedł pod wieczór na powierzchnię. Szedł zmordowany do Olsztyna. Zaczął padać śnieg, dmuchać wiatr, zrobiła się zawierucha. Grotolaz postanowił – podawała prasa – przenocować w śpiworze pod namiotem. Biwak był rozbity prawidłowo. Dopiero w trzecim dniu znalazła go służba leśna. Niestety, zmarzniętego na śmierć. Nazwiska zmarłego nie podano w notatce, którą czytałem, lecz miejsce się zgadzało.

Po zapoznaniu się z informacją pojawiły się wyrzuty sumienia. Czy przechodząc obok pomarańczowego namiotu (to prawda że w psychicznym szoku) nie powinienem, mimo wszystko, zajrzeć pod brezent? Czy młody grotolaz żył jeszcze, czy był już martwy? Czy gdyby żył, mógłbym go uratować? Pewny jestem na sto procent, że w namiocie były już tylko zwłoki. Mam niezachwiane przekonanie, iż moja interwencja byłaby bezcelowa. Ale to tylko przekonanie, a nie zasadna pewność. Może zamrznięciu towarzyszył atak serca? Też tylko „m o ż e”. Nigdy zresztą nie dopytywałem się nikogo o szczegóły tragedii. Chciałem zapomnieć, nie udało się. Niniejszy tekst – najdobitniejszy tego dowodem.

Wioletta Grzegorzewska ELEKTRA*

Podobno podczas Czwartej Wojny Światowej Elektra straciła ojca. Chociaż niektórzy złośliwi sąsiedzi mówią, że zabił go kochanek matki. Elektra święcie wierzy w tę plotkę i nienawidzi swojej rodziny. Kiedy słyszy w kuchni świszczący oddech ojczyrna i widzi jego pęłzający cień, ucieka na dyskotekę, aby porazić kogoś prądem i wyrzygać nienawiść do umywalki. Wraca nad ranem i błyszczącymi z bólu oczami syci się widokiem matki – modliszki.

Pewnego dnia postanawia się zemścić. Odnajduje swojego brata, który ukrywał się w piwnicy, i razem postanawiają jednym wybuchem pozbyć się „rodzinki”. Roznoszą gęstą

przeszłość. Potem piją Warkę Mrok, która kasuje im pamięć. Wypożyczonym samolotem fruną wysoko i wyzwalają nową anarchię.

Elektra głęboko oddycha i nareszcie się śmieje. Ale nagle jej czas kuli się i znika. Płonnie silnik w samolocie. Płoną jej rude włosy, silikonowe usta i glany.

Brat katapultuje się i zostaje członkiem ruchu oporu. W ramach akcji: „Precz z techniką” niszczy stare samoloty.

IFIS

Jak mi powiedziano, Ifis nie chce już być kobietą. Długo się nad tym nie zastanawiała, bo nie było nad czym. Przeczytała ogłoszenie w „Najnowszym Stylu” i wyrzuciła na śmietnik miękkie piersi, łono, wilgotne wspomnienia i nieprzespane noce. W Trans-Salonie „Poczwarka” przeobraziła się w chłopca.

Zmieniona, nieogolona, w rozwleczonych dżinsach jedzie do kina i szuka swojej oblubienicy Janty. Wyobraża sobie, jak głaszcze jej pachnące włosy, szuka ust i zapomina o bożym świecie, gdzie nie ma miejsca na inność pod żadną postacią i pod żadnym pozorem.

Janta jednak się spóźnia. Zaniepokojona Ifis wysyła jej esemesa i dowiaduje się, że ukochana czytała to samo ogłoszenie i też skorzystała z oferty Wielkiej Przemiany. Zrozpaczona Ifis postanawia wrócić do domu i potknąć jakiegoś proszki.

Ludzie w metrze wydają się jej jacyś dziwni. Nikt nie jest sobą. Wokół krążą nieokreślone, wychudłe syreny, farbowane meduzy, umięśnione sfinksy i centaury.

* Opowiadania należą do cyklu pt: „Życie na zimno” i ukażą się wkrótce nakładem wydawnictwa „Bulion”.



Katarzyna Swiŧto OPOWIADANIA ABSTRAKCYJNE

I

Pod błękitnym niebem stawiasz uważnie stopę w puch z mgły i ptasiego pierza. Cicho. Robisz krok, PUF. Miętko. Przestrzeń rzeźbią białe, kamienne domy. Bezwiatr. W oknach bez szyb stoją kolorowe krzesła, określając smak umysłowej bieli. Krzesła nie dostawione i nie wyrosłe, ale monolityczne, z budynkami i z całym ich wnętrzem.

Na niebie kształtne plamy ptaków. Jedyńskich dźwiękotwórców, prócz twojego PUF. Ich pojedyncze głosy znaczą ciszę, jak krzesła znaczą biel domów. Ptaki zasiedziały. Każdy w swoim miejscu nieba. Można rzucić w któregoś piłeczkę pingpongową. Piłeczka strąca ptaka w pozycję dogórnożną, a on za pomocą korbki odkręca się z powrotem TRTRTRTR. Piłeczka pingpongowa odbija się chwilę od różnych punktów nieba (z dźwiękiem odbijanej piłeczki pingpongowej), po czym zostaje w jednym z nich, jak czerwony guzik. Naciskasz go i znika. Znikają też ptaki i błękit, puch i budynki. Zostaje tylko biel i długopis w dłoni.

II

Utkane z płodów pryzmatu wysokie sześciany energii koloru rytmicznie kreślą przestrzeń. Lewitujesz horyzontalnie wśród tych płaszczyzn wertykalnych.

Całujesz pomarańcz i wilgotniejesz. Kap, kap...

Wdychasz beż – łagodnie jednoliciejesz.

Z utulenia szafirem wtapiasz się w sześcian zieleni, by wypłynąć w bezgraniczny błękit.

Wdechem dotykasz wibrujących wewnątrz brył, wydechem łaskoczesz granice intensywności drgań.

Ze szmeru wypływa dźwięk jasny, który jak domino wywołuje inny, i tak drganie za drganiem, rozrasta się, kolor za kolorem, nieograniczony szczęciennym konturem, napędzany twoją przeponą ŚMIECH.

Nie określony ironią i paniką, nie przytłumiony niepewnością, nie zniekształcony maską, nie przyprawiony smutkiem ani strachem.

Ot, ach, śmiech koloru(em).

III

Twoja przezroczysta skóra-naczynie. Jesteś dzbanem elastycznym. Otaczasz sobą, krystaliczną wodę. Oddycha niezmaczenie. Zamykasz oczy. Dajesz wniknąć strumieniowi światła. Chłonisz go istnieniem. Dotykasz byciem. Obmywasz świadomością. Lśniesz, obnażając cień spod moich powiek. Rozlewam się słono. W moje źrenice wlewasz błękit i kroplę ciebie.

Dźwięk kropli o kroplę.

Dźwięk światła o kroplę.

Tęcza.

Nie ma mnie już na powierzchni ciebie.

IV

W czarno-białym krajobrazie obszytym horyzontem Ktoś na jednokołowym rowerze pedałuje szaleńczo, nie przesuwając się w przestrzeni. Pojęcie przestrzeni ma zamknięte w maleńkiej szkatułce uwiązanej u szyi, do której klucz, myśli, że wymyśli. Przez szare oczy Ktosia prześwitują liczne gry intelektualne, niepoohamowanie produkowane przez jego omotany nieosiągalnym horyzontem umysł. Kostka Rubika upstrzona seriami znaczków beztrzesko doprowadza do bezładu wystudiowane posunięcia Ktosia, ciągle tkwiącego w punkcie, wokół którego orbituje wciąż tak samo odległy horyzont.

V

Gładka tafla nieba – zdecydowana w braku – jednolicie rozpiera horyzont.

Ptaka – ma skrzydła, które kończą się na krawędzi najdłuższego pióra, ma też małe, silne płuca, zdecydowane w granicach. Dziobem wbija się w monolit błękitu, przekłuwając go jak bańkę mydlaną. Lotem (diament po szkle) wyznacza górę i dół.

Staccatem posypuje się świadomość ptaków wokół. Przecinają niebo, rozpraszając napięcie kreśleniem odległości, pomnażając płaszczyzny i kierunki. Zawirowania powietrza muskają odcieniami temperatury twarz oceanu. Pod naskórkiem ławice srebrnych sardynek i synchroniczny taniec delfinów.

Bezładne optimum strukturalne czasoprzestrzeni odbija się w lustrze świadomości, która zamyka koło, zmieniając koniec w początek, stanowiąc ostatni tryb w perpetuum mobile.



Czy ta kobieta naprawdę dobrze zna myśl filozoficzną Kanta?



Chciałbym wiedzieć ile ludzi zostało zabitych na świecie w tym czasie gdy my byliśmy na spacerze



Może lepiej upiec ciasto niż zrobić zdjęcie?



Mitosiek w swoim pokoju

Prace fotograficzne Mariusza Hermanowicza



J. Łydźba „Motyw dekoracyjny Dąbrowskiego 12”

Marcin z pliku moich wierszy, jakie przygotowuję do ewentualnego wydania wybrał jeden, bo ten mu się najbardziej podobał, ja zaś uważałem, że lepsze są inne. Przyjrzałem się krótkiemu tekstowi jeszcze raz bardzo uważnie. I co? I przyznałem Marcinowi rację. Wybrał bowiem wiersz dynamiczny, dramatyczny, gdzie się coś dzieje, choćby w myślach, rozgrywa się jakiś konflikt. Inne były zbyt opisowe, statyczne. Nadmierna opisowość, liryczność gubi wiersz.

* * *

Najpierw wybiegł spod ziemi mlecz i zażółcił cały park. Wiedźmy wrony natomiast go zakrakały. A z jakim wdziękiem sznurowały na wierzchołkach drzew gniazda! Potem wystrzeliły liście u klonów, wiązów, kasztanowców. Te ostatnie wkrótce zabieliły się owalnymi stożkami – zakwitły. Trochę później moja wiśnia japońska stanęła w różu. Nie mówię już o zieleni drzew i dziesiątkach odcieni ulubionej przeze mnie barwy. To symbol nadziei, a jednocześnie śmierci. W chrześcijaństwie barwa zmartwychwstania. W Objawieniu św. Jana Najwyższa Istota „jest podobna do jaspisu, a tęcza wokół tronu do szmaragdu”. Muzułmański sztandar Proroka, jest zielony, jak płaszcz, jaki nosił. W starożytności to kolor Afrodyty i Apollina.

Nie widzi tego wybuchu zieleni Małgosia. Nie wychodzi z domu. Zakryła ją kolejna fala depresji. Nie używa szminki, lecz ma malinowe usta.

* * *

Pod słuchane w tramwaju. Głos męski: „Powinnaś być wniebowzięta, ponieważ wytrzymałaś ze mną tyle dziesiątków lat”. Milczenie. I znowu ten sam męski głos: „I ja też powinienem pofrunąć żywy do nieba, z powodu, że z tobą wytrzymałem tyle lat”. Akurat wysiadałem z wozu. Z zainteresowaniem spojrzałem na siedzącą tyłem do mnie parę starszych ludzi ubranych z szykiem, elegancko. Milczeli, kiedy wysiadałem z tramwaju.

* * *

Z dna pamięci, podświadomości wynurzyły się mogiły pokryte gęstą zielenią, dzikimi różami, co kwitły, chabrami, plataniną krzewów, wysokich traw. Był to niewielki cmentarz z okresu I wojny światowej, położony na wzgórzu, niedaleko Chotyłowa na Podlasiu. Zaprowadził mnie tam przedwojenny polski oficer, znajomy mojej siostry przyrodniej, do której smała cholewki. Byli tam pochowani legionieści polscy, żołnierze niemieccy i rosyjscy. Mój przewodnik tłumaczył wojnę i to w jaki sposób uzyskaliśmy niepodległość. Niewiele rozumiałem, nie chodziłem jeszcze do szkoły. W pamięci oczu zatrzymałem jednak obraz tego miejsca, cały w kwiatach dzikiej róży. Przez długi czas ów cmentarz kojarzył mi się z cudnym miejscem, z pośmiertnym braterstwem wrogich przecież sobie armii. Odczułem wtedy, pięcioletnie dziecko, jakiś metafizyczny powiew historii.

Mówię: „podziwiam” i jednocześnie przeraża mnie różnorodność gatunków roślin, zwierząt i mikroorganizmów od czasu potopu; w okresie ich ewolucji mógł się przypadkiem pojawić człowiek. A przyjaciel ksiądz grzmi mi w uszy, że przypadków nie ma.

* * *

O samym seksie zapomina się szybciej, niż o miłości bez seksu. Działa prawo anielskie.

Kolędy. Te nasze mają swoistą czułość i osobniczy klimat. Podobnie jak piosenki legionowe, zawsze rytm marszu. Nawet za „rozkwitającymi pękami róż” czy tęsknicą: „Wróć Jasieńku z tej wojenki, wróć” – słyhać wciąż kroki maszerujących szarych piechurów. Daleko, w tle. Proszę przesłuchać scherzo h-mol Chopina.

* * *

Las opuchły wilgocią. Drobny deszczyk. Mimo to – jedziemy. Podszycie lasu w błocie po nagłej, nocnej odwilży. Niedziela, a poza nami nikogo. Po godzinie czujemy mokre stopy. Szarość przygniata do ziemi drzewa, krzewy. Nieciekawie. Ratuje mnie wyobraźnia. Chcę widzieć i widzę na drzewach kolorowych klauwnów poszukujących tam bocianich jaj. Sam się uśmiewam do tego surrealistycznego obrazu.

Tadeusz Gierymski

Nie lubię wiśni...

Andrzej ocknął się. Pierwszym obrazem, jaki ujrzał był biały sufit. Biały. W zasadzie trudno go było nazwać białym. Uwłaczałoby to wszystkim białym sufitom na świecie. Ten przypominał raczej brudny śnieg przy drodze. Tak więc pierwszym obrazem, jaki Andrzej ujrzał po ocknięciu się był kiepsko wykonany, spartolony, że ośmielę się użyć tego słowa, brudnoszary sufit. Poniżej rozciągały się pistacjowe ściany, równie nierówne, z turkusową lamperią wysokości półtora metra.

Po tych paru szczegółach Andrzej mógł z całą pewnością stwierdzić, że jest w szpitalu. Tak, szpital. Ale co on tu, u diabła, robi!?! Zaczął nerwowo wyęczać szare komórki, jednak bezskutecznie. Powoli rozejrzał się po pomieszczeniu. Oprócz łóżka na którym leżał zauważył dwa inne, również zajęte. Jego towarzysze spali. Postanowił obrócić głowę, by otrzymać szerszy obraz swojej sytuacji. Dopiero w tej chwili poczuł pulsujący ból pod czaszką. Zasyczał i odruchowo złapał się za czoło, tym samym naruszając wystający z przegubu lewej ręki wenflon, przez który do jego organizmu przedostawała się wisząca na wieszaku kroplówka. Ból ręki nałożył się na ból głowy i uderzając ze zdwojoną siłą, zmusił nadwyrężony mózg Andrzeja, a konkretnie ośrodki mowy, do krzyku.

Zaalarmowani sąsiedzi z łóżek obok natychmiast przebudzili się i wezwali siostrę odziałową. Ubrana w zielony fartuch kobieta weszła na salę i karcącym głosem zwróciła się do Andrzeja:

– Niech pan nie wariuje panie Salusik! Do czego to podobne?!

– Gdzie ja jestem? – spytał Andrzej.

Po chwili dopiero uzmysłowił sobie bezsens tego pytania. Przecież ustalił to przed chwilą!

– W szpitalu, panie Salusik.

No tak. Jakiej odpowiedzi mógł się spodziewać na tak idiotycznie zadane pytanie? Tym razem Andrzej dłużej zastanowił się zanim zadał następane:

– Co ja tu robię?

– Leży pan...

Znow pudło! Rozmówczyni okazała się bardziej tępą niż przypuszczał. Już miał otworzyć usta, kiedy pielęgniarka przycisnęła mu do nich palec i powiedziała:

– Proszę już o spokój, panie Salusik. Dok-



„Pień 32”, „Zdrój Ojczyzny” drzeworyt Salvadora Dali

tor do pana przyjdzie i wszystko opowie, a teraz proszę odpoczywać – poprawiła kołdrę i wyszła.

Andrzej miał zbyt duży szum w głowie, by zareagować. Po krótkim oszołomieniu postanowił się zwrócić z tym pytaniem do ludzi na sąsiednich łóżkach.

– A panowie nie wiedzą dlaczego tu leżę?

Jakiś wypadek pan miałeś – odparł wąsaty facet leżący obok niego. – Wstrząs mózgu jakiś. Nic pan nie pamiętasz? Przecież żeś się pan z nami witał!

– Ja pierwszy raz panów na oczy widzę!

– Ty, Pietrek, to może być ta magnezja, co doktor mówił.

Zwrócił się Wąsacz do młodego chłopaka w okularach, z nogą na wyciągu.

– Amnezja nie magnezja, panie Marianie. I nie Pietrek, tylko Piotr, jeśli można prosić...

– Ty się, Pietrek, nie rzucaj, bo to nie ja żem Małysza odpierdział przed sikorami – ofuknął Młodego, po czym zwrócił się do Andrzeja – Widzisz pan, dorwie się taki student na do nart i od razu się przed sikorami popisuje, że co to nie on. A wracając do pana, to żeś się pan nieźle urządził. Doktor mówił, że żeś pan się walnął głową z jakimś kitajcem.

– Co?! – spytał Andrzej zdezorientowany.

– On próbuje powiedzieć, że uległ pan nieszczęśliwemu wypadkowi, podczas tradycyjnego powitania z jakimś obywatelem Japonii – wtrącił się Student. – Czytałem o takich przypadkach. Dochodzi do nich najczęściej podczas powitań w ciasnych korytarzach lub jeśli witający się nie ocenią właściwie dzielącej ich odległości. Pochylają się obaj równocześnie i trach, nieszczęście gotowe. Oczywiście muszą włożyć w ukłon odpowiednią energię kinetyczną. Jak dotąd w Japonii odnotowano dwadzieścia cztery wypadki śmiertelne podczas powitań. Miał pan dużo szczęścia – dodał z powagą.

– No pięknie! A Wałęsa chciał nam tu drugą Japonię robić! A takiego wała! Żeby się człowiek musiał przy witaniu oglądać, żeby se krzywdy nie zrobić to, to już normalnie nienormalne jest, panie. Kto to widział, ja się pytam?! – zbulwersował się Wąsacz.

– No tak... Z Japończykiem...

Andrzej zaczął powoli przypominać sobie wydarzenia.

Przecież od przeszło dwóch miesięcy prowadził negocjacje z firmą Saneko Inc. Dotyczyły wybudowania w podwarszawskim Grójcu fabryki długopisów, które zmieniają kolor pod wpływem temperatury. Miał od dawna zaplanowane spotkanie na szczycie z dyrektorem Saneko do spraw wschodzących rynków europejskich, panem Omaru Takagawą. Tak czekał na to spotkanie. Przecież od wywarcia dobrego wrażenia na panu Takagawie zależał kontrakt opiekujący na niezłą sumkę. Od tego kontraktu zależała niejasna przyszłość kosztownie zadłużonej Salusiak & Makowski Constructios. Andrzej specjalnie kupił kurs multimedialny „Sama Rama bez Dynama – czyli kontakty handlowe z Krajem Kwitnącej Wiśni” na trzech płytach CD! Przecież tak długo i wytrwale ćwiczył ten ukłon przed lustrem i taka plama... Andrzejowi tży same napłynęły do oczu. W tle dochodziła ożywiona dyskusja między Wąsaczem a Studentem.

– Ależ panie Marianie, Japonia to kraj ogromnych możliwości. Kraj o bogatej historii i kulturze, a jednocześnie jedna z czołowych potęg gospodarczych świata. Mówią o nim Kraj Wschodzącego Słońca albo Kraj Kwitnącej Wiśni...

– Nie lubię wiśni...

– Błąd panie Marianie, błąd. Wiśnie są bogatym źródłem witamin, przede wszystkim witaminy C.

– Ja tam po wiśni zawsze zgagę mam. Wolę porzeczkę albo jabko, a najlepiej porzeczkowo-jabkowe. Ostatnio takie Wojtuś upędził w balonie dwudziestolitrowym, to przez trzy dni żeśmy oba chodzili jak spitfajery. – Wąsacz zaśmiał się gardłowo i zakasał.

Andrzej poważnie myślał o harakiri.

Smutny Koniec

Michał Wojciechowski

08.04.2003

Wizyta w piwnicy

Żarówka pod piwnicznym sufitem rozbłyła słabym, zakurzonym światłem, ukazując nitki pajęczyn zawieszonych pod sufitem. Nad drzwiami z desek, znajdującymi się na wprost wejścia, wisi kilka zwłok pajaków, nawet tak dużych jak połowa pięści, szczelnie owiniętych w białe kokony. Drzwi te nie były otwierane co najmniej od kilku lat, podobnie jak mieszkanie na pierwszym piętrze, w którym nikt nie mieszkał. Agata nieśmiało podeszła do końca schodów, by przekręcić kolejny wyłącznik światła. Następna brudna żarówka zalała korytarz gęstym syropem światła, ukazując oczom dziewczyny dobrze znane drzwi, za którymi kryły się kolejne rupieciarnie. Agata na lekko drżących (nie wiadomo właściwie dlaczego) nogach podeszła do drewnianych drzwi prowadzących do zagraconego pomieszczenia przydzielonego jej mieszkaniu. Zadanie bojowe na dzisiaj brzmiało: przynieść słoik dżemu do naleśników i kompot wiśniowy. Dwa razy wypadły jej z rąk klucze zanim zdołała otworzyć kłódkę. Drzwi otworzyły się powoli z przeciągłym skrzypieniem, ukazując rzędy zakurzonych półek z przetworami, dwa rowery i mnóstwo niepotrzebnych drobiazgów, w tym stary taboret. Agata obejrzała się nerwowo za siebie i – przytrzymując nogą drzwi w taki sposób, aby nie dało się ich zamknąć od zewnątrz –

sięgnęła po stoiki. Dotarła do pierwszego lepszego dżemu, niestety kompoty stały przy końcu wąskiej piwnicy. Po chwili wahania dziewczyna puściła drzwi i szybko skoczyła po upragniony słoik. Drzwi zaczęły powoli się zamykać ze strasznym skrzypieniem, które mogłoby chyba obudzić umarłego. Ta myśl wcale nie spodobała się Agacie, toteż najszybciej jak umiała, prawie się przewracając, wybiegła na piwniczny korytarz. Pozostało jej tylko zamknąć drzwi na kłódkę. Rozejrzała się za kluczem, ale go nigdzie nie było. Ponownie lekko uchyliła drzwi i zajrzała do środka. Klucz leżał na podłodze, zaraz za progiem. Agata postawiła oba stoiki na podłodze i szybko schyliła się po swą zgubę. Klucz zdumiewająco głośno zadzwęczał jej w dłoniach, gdy próbowała przekręcić zamek. Kłódka przez chwilę stawiała opór – jak zwykle przy zamykaniu, ale po krótkiej chwili Agata poradziła sobie z nią i klucz wyśladał w kieszeni jej spodni. Lekko już spocona, drżącymi rękami chwyciła naczynia i odwróciła się powoli w kierunku wyjścia. Żarówka oświetlała wciąż pusty korytarz, bezlitośnie odsłaniając nawet w swym marnym świetle brudne, gołe ściany i nici starych pajęczyn. Wtem przez korytarz przetoczył się jakiś odgłos, na dźwięk którego Agata aż podskoczyła. Trwało to parę sekund, zanim uświadomiła sobie, co ją tak przestraszyło. Rury. Oczywiście, że rury przez które biegła woda. Kanalizacja, też coś! Nie ma się czego bać, dopóki nie trzeba mieć z tym zjawiskiem bezpośrednio do czynienia. Agata uśmiechnęła się sztucznie, starając się żartować ze swego bezpodstawnego strachu. Ruszyła w kierunku schodów, starając się nie biegnąć. Przechodząc koło zamkniętych od lat drzwi, mimo woli spojrzała w górę. Ujrzała tam coś jakby nikły błysk światła, który mógł być jednak tylko odbiciem na ruchomym, czarnym pancerzyku wielkiego pajaka pożerającego swojego pobratamca zawiniętego szczelnie w kokon. Agata odwróciła głowę, pstryknęła wyłącznikiem i najszybciej jak mogła wybiegła na zewnątrz. Z ulgą przekręciła duży klucz w drzwiach prowadzących z klatki schodowej do piwnicy. Z wnętrza dobiegł ją jakiś rumor, który tym razem nie mógł wydobywać się z rur. Agata pokonała dwa piętra z rekordową szybkością, o mało co nie tłukąc stoików. Wpadła do domu jak burza i uspokajała się przez kilka minut, oparta plecami o ścianę w przedpokoju. Potem zaniósła do kuchni oba stoiki – i dokładnie umyła ręce.

Mniej więcej godzinę później do piwnicy zeszła starsza pani, mieszkająca sama na

pierwszym piętrze, w mieszkaniu sąsiadującym przez ścianę z tym zamkniętym. Przez ostatnie dwie noce zza ściany dobiegały ją jakieś odgłosy, jakby ktoś wyrzucał ciężkie rupiecie z półki pod sufitem. Na początku nie zaniepokoiło jej to, uznała bowiem, że się przesłyszała. Tej nocy jednak hałas był zbyt duży, by mogła go zbagatelizować. Postanowiła popytać sąsiadów, czy czegoś nie słyszeli i – ewentualnie, gdyby hałasy znowu się powtórzyły – wezwać policję (najprawdopodobniej ktoś się tam włamał, więc obecność stróżów prawa byłaby konieczna). Staruszka przekręciła kontakt i pusty, brudny korytarz piwniczny załało słabe światło, mające swe źródło w niewymienianej od dłuższego czasu żarówce. Otworzyła drzwi do swojej piwniczki i napełniła reklamówkę ziemniakami, których zapas kiełkował spokojnie w starej wannie zajmującej połowę niewielkiej powierzchni pomieszczenia. Ledwo zdążyła zamknąć drzwi na kłódkę, gdy w całej piwnicy zgasło światło. Kobieta westchnęła, przeglądając w myślach domowe szafki w poszukiwaniu wolnej żarówki. Postawiła już stopę na pierwszym schodku prowadzącym do wyjścia na klatkę schodową, gdy zza pokrytych pajęczynami, nieużywanych od lat drzwi dobiegł jej uszu potężny rumor. Ostrożnie podeszła do drzwi, starając się dojrzeć coś w ciemności pomiędzy cienkimi szparkami w deskach.

– Halo? Jest tam kto? Co się dzieje? – zapytała i zapukała w starą, chropowatą deskę.

Odpowiedziała jej cisza. Staruszka wzruszyła ramionami i postanowiła wrócić tu później z jakimś sąsiadem, kiedy nagle pod sufitem znad zamkniętych drzwi na krótką chwilę rozblęsnęło światło, by zniknąć niemal w tej samej chwili, w której się pojawiło. Nagle starsza pani poczuła przemożną chęć ucieczki, z której nie potrafiłaby wytłumaczyć się sama przed sobą. Najszybciej jak tylko mogła wdrapała się po kilku schodkach i szybko zamknęła za sobą drzwi do piwnicy. Na klucz.

Następnego dnia około południa do piwnicy zszedł mieszkający na trzecim piętrze pan Adamczyk. Z okazji remontu w domu potrzebował stąd kilku desek. Przekręcił kontakt, ale światło nie zapaliło się. Pan Adamczyk zaklął pod nosem i pomyślał, że trzeba będzie wymienić żarówkę. Nie chciało mu się jednak wracać teraz na trzecie piętro, postanowił wymienić żarówkę przy okazji. Poza tym przypomniał sobie, że na półce tuż przy drzwiach w jego piwnicy powinna leżeć latarka. Zszedł po schodach i od razu poczuł, że coś jest nie

w porządku, bo owionął go dziwny zapach, jakby woń stęchlizny zmieszana z czymś nieokreślonym. Po omacku otworzył kłódkę i sięgnął po latarkę. Była tam, gdzie zostawił ją ostatnim razem. Pstryknął przełącznikiem i snop światła omiółł całe wnętrze. Oczom zdumionego mężczyzny ukazały się wyłamane deski w nieużywanych przez nikogo drzwiach. Trzymały się one tylko na kłódce i dwóch z trzech zardzewiałych zawiasów. Na brudnej podłodze walało się pełno drzazg. W pierwszym odruchu pan Adamczyk chciał przekonać się z bliska co się właściwie stało, drzwi bowiem wyglądały, jakby ktoś z dużą siłą wyłamał je od środka. Zrobił nawet krok naprzód, nagle jednak cofnął się gwałtownie do tyłu. Nerwowo przekręcił zamek w kłódce u swoich drzwi i najszybciej jak mógł, nie biegnąc jednak, wyszedł z piwnicy. Zamykając na klucz drzwi prowadzące do niej z klatki schodowej. Nie wiedział dlaczego to zrobił, czuł tylko, że upragnione deski wcale nie są mu już tak potrzebne. Szybko wszedł na trzecie piętro, zdjął buty i dopiero w pokoju zauważył, że w prawej ręce wciąż ścisła kurczowo zapaloną latarkę.

Dwa dni później już wszyscy sąsiedzi wiedzieli o wyłamanych w piwnicy drzwiach i hałasach w pustym mieszkaniu. Nikt jakoś nie miał odwagi iść do piwnicy, chociaż nikt nie przyznałby się do tego otwarcie. W końcu postanowiło tam zejść trzech mężczyzn: pan Adamczyk, jego 21-letni syn i mieszkaniec czwartego piętra, pan Skoczylas. Nie żeby coś, tylko tak, gdyby trzeba było wynieść coś ciężkiego. Pan Adamczyk nieco drżącą ręką otworzył pierwsze drzwi i jako pierwszy ostrożnie wszedł do piwnicy. Tuż za nim podążał drugi sąsiad, na końcu z nieco pobłażliwą miną szedł syn pana Adamczyka – Artur. Wszyscy trzej zopatrzeni byli w latarki rzucające silne snopy światła. Pan Adamczyk w kieszeni swojej kurtki miał dwie zapasowe żarówki. Kilka sekund później światło wszystkich trzech latarek padło na jedno miejsce, w którym wszyscy trzej ujrzeni drzwi od nieużywanej piwnicy... całe. Ich deski były zakurzone, jakby w ogóle nie były ruszane od kilku, może kilkunastu lat, pokryte poszarzałymi pajęczynami, na podłodze nie było nawet drzazgi z połamanego drewna. Trzech panów popatrzyło na siebie ze zdumieniem i pokręciło głowami bez zrozumienia dla zaistniałego zjawiska. Artur skwitował to lekceważącym uśmiechem połączonym ze wzruszeniem ramion. Po krótkiej wymianie zdań postanowiono wymienić żarówki. Gdy jednak

przekręcono kontakty, okazało się, że obie żarówki działają i – chociaż mogło to być tylko złudzeniem – dają jakby jaśniejsze światło niż przedtem. Po kilku minutach sąsiad z czwartego piętra i Artur skierowali się do wyjścia. Tylko pan Adamczyk został jeszcze na chwilę, by jednak wziąć te potrzebnych mu wciąż do remontu deski. Już wychodził, gdy nagle, tknięty jakimś przeczuciem, podszedł do drzwi nieużywanego pomieszczenia. Wyglądały oczywiście: brudne, podniszczone, stare drzwi piwniczne, upstrzone fragmentami pajęczyn. Pan Adamczyk przysunął twarz bliżej, zaglądając w nieprzenikloną ciemność pomiędzy szparami desek. Potem przeniósł spojrzenie obok i nagle zauważył: na deskach ledwo widoczne, ale jednak były – delikatne ślady, linie pozostałe jakby po precyzyjnym sklejeniu drewna, cienkie nitki, pozostałości po pęknięciach. Szybko odskoczył od feralnych drzwi i – wzięwszy swoje deski – prędko wyszedł z piwnicy.

Starsza pani, ta sama, która słyszała hałasy w pustym mieszkaniu obok, więcej się na nie nie skarżyła. Nie znaczy to, że na pewno ich nie było. Mogła ich po prostu nie słyszeć.

Dwa tygodnie później Agata zeszała do piwnicy, znowu po dżem. Szybko przeszła przez korytarz, zdjęła kłódkę ze skobla, otworzyła skrzypiące drzwi i, przytrzymując je nogą, sięgnęła po pierwszy lepszy stoik. Drżącymi rękami z trudem przekręciła zacinający się klucz w zamku, o mało nie upuszczając go na podłogę. Powoli odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia. Była już na ostatnim schodku, gdy zza jej pleców dobiegł niegłośny, przytłumiony odgłos, jakby coś spadało z dużej wysokości.

Agata szybko zamknęła drzwi prowadzące z klatki schodowej do piwnicy, przekręcając klucz w zamku dwa razy. Rury. To z pewnością były rury. Bo jeśli nie rury – to co?

Monika Skrzypczyk

Jakiś pan

Jakiś pan głaszcze mojego psa. Poci mi się dłoń. Trzymam mocno smycz. Pies merda. Pan zaprasza do siebie.

Jakiś pan głaszcze moją buzię. Poci mu się dłoń. Ja się czerwienię. Radio gra zbyt głośno.

Jakiś pan wkłada mnie do wanny. Chowam się pod pianą. Przyciskam kolana do brody. Wanna jest za mała dla mnie i dla pana. Za mała. Zdecydowanie za mała.

Piotr Nita
Marzec 2003

Zulasicc park

Był długi, deszczowy, jesienny wieczór. Między posępnymi, skartowaciatymi drzewami w szaleńczym tańcu wirowały liście rzucane wiatrem niczym tajemną, niewidoczną, demoniczną siłą. I właśnie w środku tej zawieruchy, a dokładnie na samym śródeczku miejskiego parku leżał sobie pan Mietek. Z zawodu był on... żulem, specjalność – żul parkowy (i, zapewne, gwiazdy sobie oglądał). Nagle oczom pana Mietka ukazała się... ciemność. Gdy tylko się ocknął, spostrzegł że znalazł się w jakimś lesie – tylko strasznie ogromnym – w którym drzewa miały po 150 metrów wysokości.

– Cholera, gdzie ci miejscy mnie wywieźli? Nie mogli tak jak ostatnio, za miasto, i by wystarczyło? – zadał pytanie w myślach.

W chwilę później uszom pana Mietka dał się słyszeć przeraźliwy ryk:

– Oddawaj moje wino!!!

– (...) nasi? – błyskawicznie nasunęło się Mietkowi pytanie.

Kiedy jednak rozsunął ogromne liście paproci ujrzął dwa olbrzymie gady. Nie wiedząc czemu Mietek świadom był, że to potężne denaturzaury. Najwidoczniej kłóciły się o jakiś alkohol. Mietek już miał spokojnie odejść, kiedy z kieszeni jego znoszonego szarego płaszcza wystaje butelczyna dobrego wina „TURBO” (z podwójną siarą). Na nieszczęście Mietka spostrzegły to również dwa denaturzaury.

– Patrz, nasze wino! – krzyknął pierwszy.

– Oddawaj je, pokurczu! – wrzasnął drugi po czym obaj runęli na Mietka z całym impetem kilkotonowych cielsk.

Miecień niewiele myśląc ją spieprzać ile sił w nogach, drąc się w niebogłoty:

– A weźcie se to wino!!!

Nagle poczuł ostry ból w prawym podudziu i upadł. Kiedy podniósł wzrok ujrzął... dzielnicowego z pałką w ręce.

– Mietek, tyle razy ci mówiłem: nie spać w parku.

Po tych słowach Miecień zerwał się na równe nogi, z zadowolenia ucałował dzielnicowego i rażnym, choć nieco chwiejnym, krokiem udał się do domu. Po drodze jednak poczuł, że coś mu wystaje z kieszeni. Spojrzał z nieskrywanym zdziwieniem na butelczynę opatrzoną napisem „VINO TURBO” (z podwójną siarą)...

Mateusz Byczkowski
20.10.2002

ARTYSTA FOTO GRAFIK



WYDAWCY

- Witajcie kumie!
- A witajcie.
- Wpadlim do was z somiedzkom wizytom, coby się poradzić i ponarzykać.
- Ooo tak, ponarzykać.
- Bo niedobrze jest. Dawnom żadnego bestsellera nie wydoł i wydawnictwo mi podupada. Pajęczyny w komputrach rosnom.
- To niedobrze.
- A u wos widze nie lepij. Ściany odrapane, sprzęta w pudełkach, meble pochlapane...
- A bo rymont mom!
- Aaa, rymont. A może ten rymont to komornik się nazywo?
- Nie żadyn komornik, bo zem w spółke wszed.
- Ćwierkali jaskółki, nie wchodzić w spółki...
- Zastrzyk kapitału zem dostał i tera ładnie tu malujemy. O, a tu sala konferencyjno bydzie.
- Poradźcie kumie, co by tu wydoć, żeby zarobić. Dwie ostatnie ksionżki to 90 procent zwrotu.
- A do Grocholi żeś telefonowół?
- Telefonowół i nic. Nie kce cholera. Sprzedoła pierdoła wszystko.
- A do Kofty próbowołeś?
- Pojechała do Hameryki na staż i po polskiemu godoć nie kce.
- No to ni wim. Może kieich smarkatych skandalistów zbereżnych?
- Może to być. Ino których? Wy rozeznonie mocie...
- Tu telefon mom. Taka ruda po maturze. Masłoska się nazywo.
- No to dzwonim (wykręca numer). Halo Dorota? A dyć dziecko drogie dej wujkowi opowiadania zbereżne, to wydamy i psebój bydzie. 10 procent zyska dla ciebie. To jak bydzie? Mom sie łodpierdolić? O ty zółzo nieletnia! Jo ci dom dziada! Dziad to w hareście siedzi! (trzaska słuchawką).
- Nie kcioła?
- Ni.
- To może starucha któregoś wydej. O tu telefon do Rakoskiego mom. Dzienniki pise w tomach.
- Halo Rakoski? Wydomy ci co? Ni? No to ni!
- A może komiksa albo bajke jaką?
- A dyć gupot o krasnoludkach nie byde wydawał. Jo sie szanuja!

– To może som napis, jak takiś mundry! Teraz każdy pizoz to wydawca.

– Pewnie ze napis! Nalej wódki, dugopis dej i kartke. Razem pseboja napisemy i bogaci bedziemy w try miga jak ta Rowling od Pottera.

– A pewnie. Wstelimy sie w koniunkturę. Tylko badania rynku trza zrobić, coby wiedzieć, co ludziska kca cytać...

– A bedzies bodoł. Idź se do lekaza, to cie zbodo.

– No jak? Tak w ciemno piniondze mom zucać kiej obierki prosiakom?

– Jak my napisemy, to dobrze bydzie.

– A o cym? Może mi powies mundralo?

– O piciu! No o cym terazki się pise? Durny ty...

– To moze o jedzeniu troche, żeby zakunska była.

– A widzis, nie znos sie. O piciu i dziewuchach. Zeby rokendrol był.

– A tytuł domy: „Ostatnie westchnienie Elvisa”.

– A moze być. I kolorowo okładke domy.

– I zeby gruba była ksiunżka!

– A dyć! I droga!

– Albo nie. Jedna mientka i tania, a druga twarda i droga.

– Dobrze kombinujes. I reklamy na banery w spożywczych domy!

– I na targu spotkanie z pismokami zrobimy!

– A zdjencia se pikne zrobimy!

– A sławni bydziemy!

– A może nie.

– A co ty mi tu dajes?

– Rachunek za poradę wydawnicom.

– A żeby cie huncwocie diabli wzieni! Jak za ten kałdun chyce to łeb ukrynce...(biją się) Do inszego wydawcy tu łobok pójde... łobuzie ty! (sb)



S. Burszewski

Adaptacje, imitacje, „Dzień świra”

Żyjemy w ciekawych czasach: afery i skandale od szczytów władzy po lokalne szczeble, wszechobecna korupcja, sprzedawane ustawy, handel zwłokami, agresja w szkole, dotkliwie bezrobocie, upadły Śląsk, podziemie aborcyjne, nędza na wsi, martwe noworodki w beczkach... Tymczasem na ekrany kin wchodzi „Stara baśń”, kolejna ekranizacja anachronicznej literatury. Wcześniej były: „Ogniem i mieczem”, „Quo vadis”, „Pan Tadeusz”, „Zemsta”, „Przedwiośnie”, „Syzyfowe prace”. W planach naszych niezawodnych mistrzów są jeszcze „Krzyżacy” oraz, ponownie, „W pustyni i w puszczy”. Za jakiś czas być może sięgną po „Kazania świętokrzyskie” czy „Legendę o świętym Aleksym”, produkując kolejne tandetne stare baśnie w zużytych kostiumie. To jeden z głównych nurtów rodzimej produkcji tuczonych ogromnymi pieniędzmi z budżetu państwa. Drugi stanowią filmy rozrywkowe, czyli komedie i sensacje kalkowane z amerykańskich schematów (Pasikowski, Wójcik, Lubaszenko *et consortes*).

Adaptacje i rozrywka zdominowały współczesne kino polskie, przesuwając je na peryferie europejskiej sztuki filmowej. W naszej kinematografii bardzo brakuje filmów odzwierciedlających współczesne frustracje społeczne, a jeśli już się pojawiają, to niezwykle rzadko. Jeszcze rzadziej osiągają artystyczne wyżyny. Reżyserem, który podjął to wyzwanie i zrealizował je po mistrzowsku, jest Marek Koterski. Jego „Dzień świra”, to ostry, odważny, inteligentny i bardzo prawdziwy obraz, niosący gorzką refleksję na temat kondycji współczesnego polskiego inteligenta oraz naszej chorej rzeczywistości. Co najciekawsze, dla tego poważnego, wręcz tragicznego tematu, twórca wybrał komediową konwencję, oscylującą w stronę groteski i uzyskał doskonały efekt. Powstał obraz oryginalny, autentyczny, sugestywny. Okazało się, że klimaty historii opowiedzianej przez Koterskiego są bardzo bliskie inteligentnym Polakom, wielu z nich identyfikuje się z Adasiem Miauczyńskim, rewelacyjnie zagrany przez Marka Kondrata. „Dzień świra” jest perełką w polskim kinie ostatniej dekady, lecz, niestety, chyba jedyną. Można by jesz-

cze od biedy podać kilka interesujących tytułów, np. „Dług”, „Cześć Tereska”, ale tym prostym, dosłownym obrazem daleko do poziomu filmu Koterskiego.

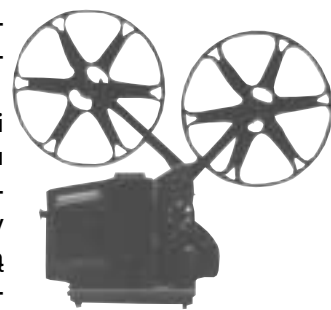
Zastanawiam się nad przyczyną niechęci filmowców do podjęcia kreatywnego dyskursu z czasem teraźniejszym. Czyżby naszym reżyserom brakowało odwagi, inwencji, polotu, by zmierzyć się z polską rzeczywistością, którą przyniosła transformacja? Zdecydowanie wolą adaptować, imitować niż tworzyć. Są więc w przeważającej większości wyrobnikami, rzemieślnikami, na pewno nie artystami. Artysta nie idzie na łatwiznę, ucieka od schematów, przełamuje tabu, prowokuje, przesuw granice sztuki, inspiruje myślowo. Tego w kinie polskim nie ma. Moja największa obawa to czy tego rodzaju kino jest w ogóle Polakom potrzebne. Po co komu inteligentny film, skoro polska inteligencja to gatunek zepchnięty na margines finansowy i prestiżowy? Inteligent ma u nas właśnie status tytułowego świra, łagodnego wariata, który nikomu poważnie nie zaszkodzi, siedząc w czterech ścianach swojego śmiesznego, niepotrzebnego życia.

Tragizm Adasiów Miauczyńskich polega na tym, że bezlitosne mechanizmy nowego dealu eliminują ich. To wynik świadomego, planowego działania tych, którym przeszkadzają osobnicy myślący. Komu więc potrzebne jest *status quo*? Wszystkim, którzy mają pieniądze i władzę, a dążą do stworzenia społeczeństwa tępych konsumentów.

W poprzednim systemie manipulacja miała charakter ideologiczny, ale polskie kino było znakomite, bardzo wielu artystów komentowało rzeczywistość z pasją, odwagą, nowatorsko, jak choćby szyderca Stanisław Bareja czy moralista Krzysztof Kieślowski. Dziś manipulacja ma inny charakter, bardziej perfidny, bo przyjemny: barany karmi się soczystą trawą. Reżyserzy, świadomie lub nie, utrwalają tę tendencję.

Właśnie zakończył się w Gdyni 28. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych. Jestem ciekawa, jak to, co napisałam, ma się do najnowszych osiągnięć polskich filmowców. Replikę festiwalu będzie można obejrzeć w OKF-ie już w listopadzie.

Halina Piwowarska



Rozmowa z reżyserem Katarzyną Deszcz, dyrektorem naczelnym i artystycznym Teatru im. A. Mickiewicza w Częstochowie, i aktorem Markiem Ślosarskim, zastępcą dyrektora

Krystian Piwowarski: Jaki kształt pragniecie Państwo nadać częstochowskiej scenie?

Katarzyna Deszcz: To, co powiem, będzie mało odkrywcze, ale chciałabym, aby było w naszym teatrze dużo różnorodnych spektakli. Marzeniem każdego dyrektora teatru jest mieć dobre artystycznie, a zarazem bardzo ciekawe, oryginalne spektakle, na które przychodzą widzowie. Mój pomysł, w największym skrócie, polega na tym, żeby nie robić przedstawień dla wszystkich, ponieważ uważam, że robienie dla wszystkich jest robieniem dla nikogo. Częstochowa to duże miasto, w którym żyją bardzo różni ludzie o bardzo różnych zainteresowaniach, o bardzo różnym poziomie i potrzebach kulturalnych, więc opowiadanie, że robimy dla wszystkich, jest bzdurą. Chciałabym, żebyśmy mieli ofertę repertuarową adresowaną do określonych grup widzów. Pokażemy, jeszcze w tym roku, „Antygonę” Jeana Anouilha w reżyserii Bogdana Toszy. To, co prawda, tytuł z kanonu lektur szkolnych (Sofokles), ale sztuka napisana i inscenizowana jest bardzo współcześnie. Jest próbą pokazania tego, co klasyczne, co jest odwiecznym tematem teatralnym, w sposób, przepraszam za wyrażenie: „zjadliwy” dla współczesnego widza. „Panna Julia”, spektakl już znany w Częstochowie, to także inne odczytanie Strindberga. Nasz spektakl jest pewną kompozycją samego tekstu dramatycznego i Strindbergowskich rozważań na temat kondycji kobiety, relacji między kobietami a mężczyznami, a także refleksji o teatrze i sztuce jako takiej. Przygotowujemy mikołajkowe „Brzydkie kaczątko” w reżyserii Bogdana Cioska. Andersen to szlachetna literatura, godna artystycznego potraktowania. Rozpoczynają się próby do sztuki Amerykani-
na Johna Steplinga, który sam będzie reżyserował swój tekst. Autor, wielokrotnie nagradzany w Stanach, nigdy nie był grany ani nie reżyserował w naszym kraju. Oczywiście nie wiemy, czy ten tekst w Polsce się sprawdzi, ale powinno się podejmować ryzyko, teatr bezpieczny jest trochę nijaki.

Pragnę także wpisać się w tradycję przedstawień sylwestrowych, przy czym nie chcę,

żeby to była klasyczna farsa, w której, poza tanim śmiechem, o nic nie chodzi. Naszą propozycją będzie „Ca-sting” Rafała Kmity. Kmity, kojarzący się wyłącznie z kabaretem, napisał bardzo rzetelną, mądrą sztukę, która zawiera elementy kabaretowe, ale ma swój sens, przesłanie. Opowiada o tym, jak ludzie, a zwłaszcza artyści, sprzedają się dla pieniędzy, dla poklasku. To, między innymi, sztuka o tym, jak bardzo jesteśmy wytworem świata komercji. Kolejnym spektaklem będzie rosyjska sztuka, znowu prapremierowa, Agnieszki Olsten, reżyserki młodego pokolenia. Zatem jeszcze inna literatura: trochę zabawy konwencją teatralną, a także opowieść o współczesnych ludziach.

KP: Ciekawe, frapujące propozycje.

KD: Wszyscy jakoś zakładali, że rozpoczęciem sezonu będzie gigantyczne przedsięwzięcie w mojej reżyserii. Tymczasem w sytuacji, w jakiej jest częstochowski teatr obecnie, przy niepełnym, małym zespole, braku środków, realizacja wielkiego przedstawienia pochłonęłaby wszystkie pieniądze, zaangażowałaby wszystkich aktorów, pracowników, służby teatru. Zatem moja decyzja była taka: więcej tytułów tańszych, ciekawszych, różnorodnych, a nie jedna, bardzo ryzykowna produkcja.

KP: Jak Pan, aktor, a jednocześnie zastępca dyrektora, znajduje się w roli osoby współodpowiedzialnej za kreowanie wizerunku częstochowskiego teatru?

Marek Ślosarski: Przede wszystkim cieszę się, że mogę, razem z Panią Katarzyną, tworzyć nową jakość w naszym teatrze. Do końca roku mamy w planach zrealizowanie pięciu tytułów. To dużo.

KP: Proponujecie Państwo teatr rozmaitych estetyk, rozmaitych form. Będzie w nim również miejsce dla polskiej klasyki?

KD: Bardzo chcę, żeby pojawiła się tutaj klasyka polska, natomiast kompletnie nie interesują mnie pomysły, żeby zrobić coś klasyczne. Nie chodzi o to, że nie lubię klasyki. Rzecz w tym, że zmieniły się znaczenia, świat się zmienił, nie można zrobić „Dziadów” tradycyjnie, nikt tego na widowni nie wytrzyma. Być może, gdyby widzowie zobaczyli na scenie absolutne mistrzostwo aktorskie, chociaż i tak trzeba tekst zinterpretować, trzeba wiedzieć, o czym się opowiada. Tak jest z całą klasyką, nie tylko polską. Z kolei teksty współczesne pisane są „na dziś”. Tu też trzeba uważać, nie chodzi o to, żeby robić „obyczajówki”. Teatr ma misję i, jeśli nawet ktoś się śmieje z takie-

go określenia, teatr ma wychowywać, a przynajmniej zmuszać do myślenia. I ma zmuszać mądrze, ciekawie, intrygująco. Jeżeli teatr nie spełnia tej misji, nie powinien istnieć.

MS: No właśnie. Poza spektaklami, o których mówiliśmy, pojawią się w naszym teatrze inne formy kontaktu z widzami. Pani Anna Dymna otwiera 18 października Salon Poezji. Innym przedsięwzięciem będzie czytanie współczesnych dramatów, ta forma sceniczna kierowana jest głównie do młodych widzów, do środowiska akademickiego. Chcemy, aby częstochowski teatr stał się miejscem dyskusji.

KD: Po spektaklach sztuki Anouilha proponujemy nową formę kontaktu z widzami - „Sąd nad Antygoną”. Młodzi ludzie będą decydować, kto miał rację: Kreon czy Antyгона, czyli edukacja przez dramat. Chciałabym rozpoznać naszego widza, choćby poprzez rozprawienie ankiety z pytaniem, czego ludzie oczekują po teatrze, czego w nim szukają, co ich interesuje, czy spektakl był nudny, czy ich zaintrygował. To próba poznania widza od strony czysto marketingowej, statystycznej. Jako reżyser, jako twórca mam oczywiście swoje wyobrażenie o teatrze jako takim, jako dyrektor naczelny odpowiadam za ofertę teatralną. Tu i teraz, w tym mieście i w tym czasie, bo to nie jest moje prywatne poletko.

KP: Jest Pani twórcą o europejskim doświadczeniu. Proszę porównać teatr polski z teatrami innych krajów.

KD: W Polsce jest sporo teatrów, reżyserów, powstają ciekawe przedstawienia. To, co mnie często irytuje, to są mody teatralne. Pojawia się oto nowe nazwisko reżyserskie i nagle cała krytyka orientuje się w tę jedną stronę, budując wyznacznik, odnośnik całego życia teatralnego. Tymczasem w wielu europejskich krajach jest miejsce na różnorodność. Różne zjawiska teatralne są tam rozpoznawane. Nie jest tak, że, na przykład, panuje moda na teatr metafizyczny, jak w Polsce, i wszyscy się martwią, nie mając spektaklu metafizycznego. Nie mówię tu o różnicach organizacyjnych czy strukturalnych, bo to jest w ogóle inny świat, tego się w żaden sposób nie da porównać. Nie ma zespołów, nie ma takich budynków teatralnych jak choćby nasz, częstochowski, robi się produkcje, jest inny system finansowania i tak dalej. To, co jest bezcenne u nas, to teatr autorski. Reżyser kreuje zdarzenie teatralne od początku do końca. W Wielkiej Brytanii jest ogromna czołobitność w stosunku do tekstu, czego u nas nie ma, tekst jest częścią tworzy-

wa teatralnego. U Niemców z kolei bardzo ważna jest symbolika.

KP: Przyzwyczajono nas, Polaków, do myśli, że w naszym kraju tworzy się świetny teatr. Mam inne zdanie, ale polskie mity są silniejsze od rzeczywistości.

KD: Zostawiając wszelkie różnice, muszę powiedzieć, że, wbrew naszemu przekonaniu, nie mamy wybitnego teatru na europejskim, światowym poziomie. Od czasu do czasu jakiś reżyser gdzieś z czymś pojedzie, nawet poważnie zaistnieje na festiwalu, ale złudne jest przeświadczenie, że postrzega się w świecie polski teatr jako szczególną jakość. A długo takie przekonanie pokutowało. Odczuwamy istnienie teatru niemieckiego, szczególnie widoczne jest to, co się obecnie dzieje w teatrach berlińskich. Kojarzyśmy jakoś teatr włoski, natomiast teatr polski w obszarze form teatralnych jest ograniczony. Trochę się dzieje w tańcu i operze, ale to przecież osobna jakość. Czasem pojawi się przedstawienie z rozbudowaną plastyką, jednakże, poza Sceną Plastyczną Leszka Mądzika, takich teatrów nie ma.

KP: Jest Pan zastępcą dyrektora naczelnego i artystycznego. To funkcja. Ale jest Pan przede wszystkim aktorem. Jakie nadzieje, jako aktor, wiąże Pan z osobą Pani Katarzyny Deszcz?

MŚ: Każde spotkanie z nową materią teatralną jest dla aktora bardzo ważne. I mam nadzieję, że osoba nowej Pani dyrektor otworzy przed nami kolejne tajemnice naszego zawodu.

KP: Co Pan sądzi o współczesnym polskim aktorstwie? Osobiście uważam je za ubogie w środki wyrazu, błahe, właściwie nieistotne.

MŚ: Polskimi aktorami rządzą media. Reklama, sitcom, serialik to nagrody, duże pieniądze. W centrach jest bieżąca od rana do nocy, podczas próby jest włączona komórka, bo a nuż zadzwonią z propozycją. Wieczorem ewentualnie teatr. Rozumiem, to jest pewna intensywność, ale może powinien nastąpić wyraźny podział, jaki jest w Europie, na aktorów strictly teatralnych i wyłącznie filmowych. Francuski aktor filmowy to acteur, teatralny zaś nazywa się „komediantem”. Nie ma też sytuacji, kiedy jakaś osóbka, na przykład modelka, przy całym szacunku dla wykonywanego zawodu, wskoczyła taką czy inną drogą do aktorstwa, bo cierpi na tym nasza profesja. Z drugiej strony takie miejsca, jak Częstochowa, to samotne wyspy, gdzie można tworzyć teatr aktorski.

KD: Wiadomo, że w sitcomie nie gra się dla sztuki, tam się gra dla pieniędzy. Sztukę robi się w teatrze. Nie znam aktora, który by powiedział, że robi serial dla sztuki.

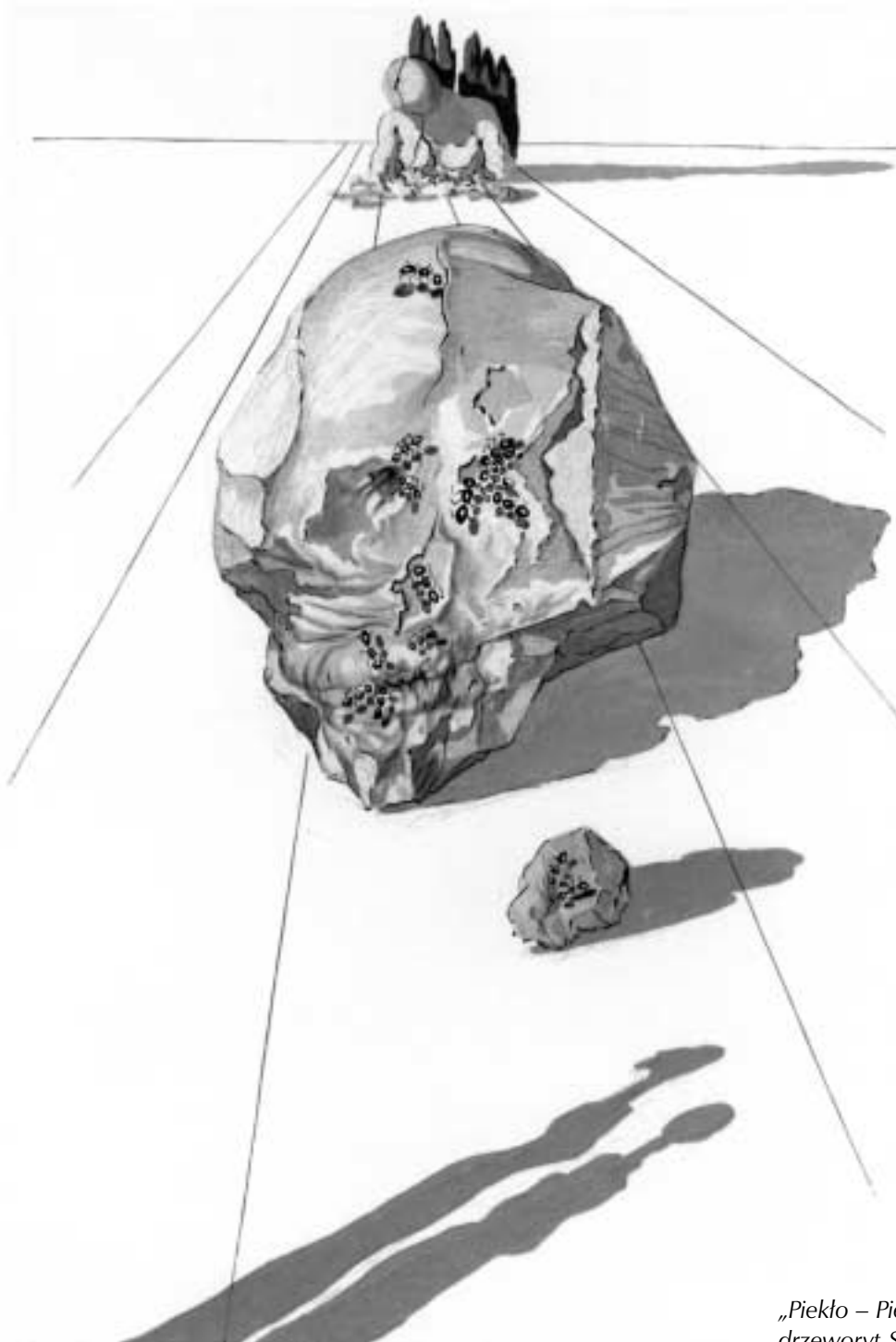
MŚ: A może to takie czasy...

KD: Bo film czy telewizja to mocne i tanie media, w przeciwieństwie do teatru, który jest drogi. Mimo to teatr nie może oddawać pola. Zarówno aktorstwo jak i budowanie spektakli, inscenizacje, nie mogą być próbą kopiowania

filmu lub telewizji. Inaczej teatr przegra. Teatr jest inną jakością artystyczną. Stanie pomiędzy spowoduje, że widz wybierze „Matrixa”, bo tam efekty wizualne są nieporównanie bardziej abstrakcyjne.

MŚ: Wykorzystywanie komputerów w teatrze nie da przecież efektu ekranowego. Mam nadzieję, że tu, w teatrze, słowo i myśl nadal będą dużo znaczyć.

KP: Dziękuję za rozmowę.



„Piekło – Pieśń 23”, „Hipokryci”
drzeworyt Salvadora Dalí

„Jean i Julia”

„Panna Julia” to sztuka o gniewie i strachu. August Strindberg, jako pisarz i mężczyzna, odczuwał gniew i strach. Oba uczucia w równym stopniu wzniosłe, co daremne, ponieważ nam dały wspaniałą literaturę, a jemu podłe życie.

Częstochowska inscenizacja dramatu napisanego w roku 1888 zabrzmiała bardzo współcześnie i wiarygodnie. Głównie dlatego, że jest właśnie gniewna i opowiada o daremności. Nie będę przecież oryginalny, kiedy powiem, że uczucia, o których mowa, są udziałem większości Polaków i że, podobnie jak bohater sztuki, Jean, wielu z nas ma swoją idealną Szwajcarię, i że nigdy do niej nie dotrze.

Przywykliśmy myśleć, że inscenizacja sztuki niewspółczesnej wymaga historycznego sztafażu. Tymczasem Katarzyna Deszcz odarła scenę z potencjalnej urody stylowego wnętrza. Czarne, gładkie ściany, brzydkie drewniane krzesło, uboga wiklinowa etażerka, na niej kilka ciemnych butelek, tępe światło, które nie stwarza złudy, nie bawi naszego oka, surowe deski podłogi – oto świat i zarazem duchowe wnętrze bohaterów, w którym rodzą się i, po krótkim, niepotrzebnym życiu, giną marzenia Jeana i Julii. Jean nosi się w czarno-białych lokajskich kolorach, to usłużny, zdyscyplinowany, brutalny, wreszcie wulgarny mężczyzna, świadomy własnego cynizmu i niemocy. Aristokratyczna Julia jest kobietą prowokującą, histeryczną, zepsutą, równie jak Jean cyniczną, wreszcie zdezorientowaną. Jej przewaga nad Jeanem, wynikająca ze statusu społecznego, jest pozorna. Oboje wnikają się we wzajemną erotyczną intrygę, snują plany wyjazdu, a właściwie ucieczki, do Szwajcarii. Plany rozbijają się o niewzruszoną pewność narzeczonej Jeana, Krystyny, że życie nie zna się na żartach, bo jest jednowymiarowe jak czarna ściana zamykająca krótką perspektywę sceny.

Julia, grana przez Agatę Ochotę-Hutyra i Jean Marka Ślosarskiego wywołują u widza zasadniczo negatywne emocje, od rozdrażnienia przez dezaprobatę po niechęć. Jednakże później, w rozumieniu linearnego rozwoju postaci, budzą współczucie dla swoich daremnych wysiłków. Krystyna Czesławy Monczki budzi z początku współczucie jako kobieta zdradzona, zlekceważona, później odrazę, na koniec strach swym przeświadczeniem, że rację mają tylko osobnicy z kwadratowymi głowami, w których wszystko jest dobrze i na zawsze poukładane. Chaotyczność oraz daremność poczynań Julii i Jeana podkreślają dwie szczególne sceny. W pierwszej Jean przemawia

z wielką żarliwością do kochanki. W drugiej, lustrzanej Julia biegnie wokół Jeana, przemawiając do kochanka. Jednakże ani jedno, ani drugie nie słyszy swoich słów. Widzowie również ich nie słyszą. Zagłusza je dzika, wrzaskliwa muzyka gitary (Janusz „Yanina” Iwański) i wiolonczeli (Serhij Rysanov). Gwałtowność Julii i Jeana kontrpunktuje zachowanie Krystyny. Odpychająco posągowa, obnosząca się ze swoją moralną i religijną wyższością, tkwi na scenie jakby chciała powiedzieć: „Ludzie, do diabła z waszymi namiętnościami, waszą miłością, intrygami, zdradami, nadziejami, marzeniami, cierpieniem”. Tylko ona pozostanie cała na uczuciowym pobjawisku.

Emocjonalny przekładaniec to nie wszystko, co widzimy i słyszymy. Otóż na scenie pojawia się parokrotnie August Strindberg-per procura niejako, dzięki osobie Krystyny. Katarzyna Deszcz, łamiąc sceniczną logikę, włożyła w jej usta opinie Strindberga na temat postaci Julii, Jeana i Krystyny, na temat kultuństwa, teatru, sztuki. Skąd ta potrzeba budowania dystansu do wydarzeń dziejących się na scenie? Pesymistyczne komentarze Strindberga brzmią gniewnie, szyderczo i znajomo, jak nasze własne komentarze na temat świata, w którym żyjemy. Więc może Katarzyna Deszcz nie tworzy dystansu, ale, przeciwnie, wyznacza punkty uniwersalne, czyniąc z dziewiętnastowiecznego dramatu sztukę współczesną? Minimalizm scenograficzny, muzyczny, w oświetleniu sceny każe zapomnieć o odległej epoce. Ułatwia to również sam język dramatu brzmiący nowocześnie, mocno, zaskakująco świeżo, umożliwiając aktorom znacznie bardziej dynamiczne budowanie postaci, niżby na to pozwalała np. ciastna, klaustrofobiczna przestrzeń sceny.

Inszenizacja Katarzyny Deszcz działa przede wszystkim na emocje, ale pozostawia kilka kwestii do przemyślenia – tekst oraz podtekst, obraz i ukryte znaczenia.

Kiedyś lubiłem teatr dla jego gry z widzem, dla kapryśnej niejednoznaczności. Lubie do tego stopnia, że sam udzielałem się w studenckim teatrze, prenumerowałem branżowe periodyki, jeździłem na spektakle do odległych miast. Ale teatr popadł w infantylność, w tanie wzruszenia, w cklive emocje, jak zresztą cała sztuka, więc przestałem wierzyć aktorom i reżyserom. Zważyłem w ich profesję, talent, w artystyczną pasję, w to, że mają cokolwiek istotnego do powiedzenia.

Może warto pogrzebać uprzedzenia?

Krystian Piwowarski

August Strindberg „Panna Julia”.
Przekład: Zygmunt Łanowski.
Reżyseria: Katarzyna Deszcz.
Muzyka: Janusz „Yanina” Iwański.

Julia – Agata Ochota-Hutyra
Krystyna – Czesława Monczka
Jean – Marek Ślosarski

Janusz „Yanina” Iwański – gitara
Serhij Rysanov – wiolonczela

ZAPIS NIEOBECNOŚCI

„Tyle już lat otwieram i zamykam te drzwi. Wychodzę do pracy, wracam. (...) Wydawałoby się, że tak będzie zawsze. A przecież to nieprawda.” Przytoczony tekst jest dopowiedzią do niewielkiej, prostej, by nie rzec lapidarnej fotografii: standardowe drzwi do mieszkania, na równie standardowym korytarzu jakiegoś domu, prowadzące do mieszkania autora.



*Sfotografowałem się w dniu, w którym
miałem 27 lat i 118 dni.
Już nigdy nie będę miał 27 lat i 118 dni.*

„Sfotografowałem się w dniu, w którym miałem 27 lat i 118 dni. Już nigdy nie będę miał 27 lat i 118 dni.” To kolejna inskrypcja pod autoportretem we wnętrzu kuchennym. Wiele podobnych figurowało na lub pod fotografiami eksponowanymi w lipcu i sierpniu br. na wystawie w pawilonie Muzeum Częstochowskiego w parku Staszica. Autorem był mieszkający we Francji, ceniony fotografik średniego pokolenia, **Mariusz Hermanowicz**. Przy tej ekspozycji i tym autorze słowo „fotografik” to identyfikacja niepełna, konieczne jeszcze należy dodać „poeta”, a także „filozof”.

M. Hermanowicz, urodzony w roku 1950 w Olsztynie, ukończył Wydział Operatorski PWSFTviT w Łodzi. Od roku 1978 jest członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików. We Francji mieszka już ponad 20 lat, pracuje jako fotograf we francuskim Ministerstwie Kultury i Sztuki.

Bliskie kontakty osobiste oraz wspólne wystawy z **Wojciechem Prażmowskim** zaowocowały przedstawieniem omawianej ekspozycji M. Hermanowicza w Częstochowie.

Ta wystawa nie kusi wspaniałością koloru, nie zaskakuje rozwiązaniami formalnymi czy obecnością znaku czasu – fotografią przetworzoną cyfrowo. Przeciwnie, większość fotografii nie zachwyca rozmachem formatów, wypiełgnowaną techniką z subtelnością światła i chyżością obłoków. Nie jest to więc ekspozycja „na czasie”, ale na pewno o czasie, o jego magii wspieranej paktem z fotografią. Zapewne dlatego od pierwszych chwil czuje się klimat i energię tych szczęśliwych związków.

Wystawa składa się z wielu części opatrzonych oddzielnymi tytułami. Obszernie pisze o nich w katalogu ceniony w branży **Jerzy L. Lachowicz**. Ja spróbuję zaakcentować tylko niektóre wątki. Najobszerniejszy jest ten, który artysta starannie dobywa z fotografii, dokumentów i opowieści: historia życia **stryja Piotra**, rzeźbiarza studiującego swego czasu w Paryżu u słynnego Bourdelle'a. Z odnalezionych zdjęć jego osoby, dzieł, kontaktów z wybitnymi ludźmi tamtego czasu, rozmów z pamiętającymi go członkami rodziny i wycinków prasowych Hermanowicz kreśli fresk o utalentowanym człowieku zapatrzonym w swoją artystyczną misję i przeznaczenie. Z nalezną artyście tolerancją postrzega także stryjowskie cechy, nie zawsze przyjazne dla innych.

W innej części wystawy jest fotografia złamanego dłuta, rzeźbiarskiego narzędzia stryja Piotra, zniszczonego już przez pana Mariusza w czasie prozy domowych remontów. Być może ta przypadkowa profanacja czegoś, co było częścią dziejów rodziny, służyło stryjowi w artystycznym dziele, było świadkiem i narzędziem jego twórczości dało asumpt do głębszego zainteresowania się losami człowieka, któremu służyło. Może się mylę, ale to już moje prawo do oddzielnej opowieści.

Hermanowiczowski portret Wilna, ważny na wystawie, bo niosący ze sobą poszukiwanie przez autora klimatów rodzinnych, nie przedstawia choćby jednej „pocztówki”. To obrazy turpistyczne, przygnębiające, kryjące w sobie gorycz i dramat. To jakby oskarżenie sowietów panujących w tym mieście od roku 1939 do niedawna. Wymowna w tym zestawie jest fotografia żeliwnej płyty na włączniku do ulicznego kanału z napisem: **MAGISTRAT m. WILNA**. To także niemy znak czasu i trwania.

20. IV 1978 o godzinie 12¹⁵ pod oknem, w betonowym stanie, przeszedł ten oto czwórniak:



☞ to jest wszystko, co o tym czwórniaku wiem



Ta cebula już nie istnieje



Ta moneta jest martwa. A jednak istniała już 325 lat przed moim urodzeniem się



9. X, 1981 r., w szóstą rocznicę naszego małżeństwa, szczęście uśmiechnęło się do mnie. W sklepie rybnym przy pl. Zbawiciela w Warszawie kupiłem 6 puszelki (akurat tyle sprzedawali na osobę)



Młazsek na swoich pierwszych wakacjach



W 1977 r. byłem 3 dni w Berlinie Wschodnim i tam, w małym sklepiku, kupiłem tę maszynkę do ostrzenia ołówków. Wyjąłem ją, gdy mieszkaliśmy jeszcze w Warszawie. Przejechaliśmy z nami do Francji. ☞ teraz jest tu, przykręcona do stołu, przy którym pracuję.



Przechodziłem koło tego dolmena. Zatrzymałem się. Wydało mi się nagle... Ależ nie, to niemożliwe. Czyżby to mogło być prawda? A jednak... Wydało mi się, że już ten dolmen kiedyś widziałem, a nawet, że brałem udział w jego budowie.

Inną z części wystawy jest opowieść o ojcu artysty. Człowieka, o którym na pewno snuć by można rozliczne wątki, tutaj widzimy jako depozytariusza rzadkiej pasji: konstruktora i twórcę...wymiślnych przynęt na ryby! Ktoś może w tym miejscu uśmiechnąć się pobłażliwie. Jest w błędzie. Synowska narracja zawierająca oryginalne szkice konstrukcyjne (tak, tak) z opisami oraz zdjęcia stworzonych przez ojca pierwowzorów w pełni przekonują do tego wyboru. Choć, w przeciwieństwie do pana Hermanowicza seniora, nie pasjonuję się wędkarstwem, to w przedstawieniu na wystawie tych błahych z pozoru przedmiotów dostrzegam siłę synowskiej miłości. Dlatego właśnie wystawę Mariusza Hermanowicza odbieram także w kategoriach bardziej uniwersalnych jako spłatę długu za wielu spośród nas, którzy przeszliśmy obok, zignorowali, a może nie zdążyli dotrzeć do tego, co było ważne, czasem nawet niezwykle w życiu naszych bliskich; za tych wszystkich, którzy we właściwym czasie nie umieli usiąść i zagadać do ojca, wuja czy dziada, by zajrzeć w zauki ich pamięci i duszy.

Napisałem wcześniej, że jest to wystawa „nie na czasie”; teraz przy końcu tekstu skłonny jestem zmienić zdanie bowiem, niczym to migocące światółko w tunelu, stanowi ona –

obok przesłania artystycznego – ważne memento o potrzebie „dochodzenia do siebie”, szukania wewnętrznej spójności z tym, czym żyli i co chcieli nam przekazać nasi Drodzy Nieobecni, abyśmy – jak to powiedział Adam Hanuszkiewicz – nie stali się po prostu keczupem.

P.S. Nie wiem, jaki klucz stosowało Muzeum przy dysponowaniu zaproszeniami na tę wystawę, podobno wysłano ich 80. Oczywiście jest, że jako placówka miejska, największą część przekazuje państwu radnym. Nie jest istotne, że Muzeum pominęło w zaproszeniach mnie – Janusza Mielczarka (o wystawie dowiedziałem się po wernisażu); chodzi o zlekceważenie mnie jako organizatora i animatora Jurajskiego Oddziału Fotoklubu RP – Stowarzyszenia Twórców – największej działającej aktualnie w mieście grupy fotografujących, przez co sporo osób zainteresowanych fotografią ominęła możliwość spotkania się i rozmowy z Jerzym L. Lachowiczem czy Wojciechem Prażmowskim. Być może była nawet okazja do zaaranżowania dłuższej dyskusji.

Janusz Mielczarek



SUKCES!

Agnieszka Parkitna jest tegoroczną absolwentką częstochowskiego Liceum Plastycznego, kierunku grafika użytkowa i formy wydawnicze. W kwietniu br. przyszła po raz pierwszy do Regionalnego Ośrodka Kultury przy ul. Ogińskiego na comiesięczne spotkanie członków i sympatyków Jurajskiego Oddziału Fotoklubu RP. Już w maju na comiesięczny konkurs, którego tematem był esej fotograficzny przyniosła interesujące fotografie, a w czerwcu trafnie zinterpretowała temat „zielono mi”, zdobywając kolejne punkty w klasyfikacji „Fotograf Roku 2003”. Dała się też namówić do udziału w XII Ogólnopolskim Biennale Plakatu Fotograficznego w Płocku, gdzie w lipcu zdobyła... Grand Prix!

Kiedy kilka dni później dzwoniłem do niej z gratulacjami, wciąż jeszcze nie chciała uwierzyć w swój sukces. Pierwszy i od razu „z najwyższej półki”. Zobaczmy, jak do niego doszło.

– **Co było inspiracją do realizacji nagrodzonej pracy?**

– W obejściu moich dziadków, na wsi, gdzie często bywam, jest mnóstwo różnych szpargałów, starego żelastwa, rzeczy, w których można się dopatrzeć swoistego i przemijającego piękna. Tam właśnie znalazłam i sfotografowałam metalowy element przypominający klucz wiolinowy. Reszta była już prosta. Minimalnie korzystałam z pomocy komputera.

– **Ile prac wysłałaś do Płocka?**

– Dwie. Bardziej liczyłam na zauważenie tej drugiej.

– **Czy brałaś już udział w ogólnopolskich imprezach fotograficznych?**

– Nie, ta była pierwsza.

– **Kiedy zauważyłaś, że fotografia może być czymś więcej niż rejestratorem wydarzeń rodzinnych?**

– Sądzę, że tutaj granica jest płynna. Wśród pamiątkowych fotek niespodziewanie robi się coś innego, raz, drugi i w ten sposób wciąga nas ta zabawa.

– **Czy planujesz, a może realizujesz zdjęcia do jakiegoś cyklu tematycznego?**

– Wciąż staram się utrwalać niezwykłości wiejskiego obejścia moich dziadków. Jakies haczyki, okienka, zawiasy itp. Być może w przyszłości da się coś z tego wybrać.

– **Czy masz jakieś ulubione inspiracje twórcze?**

– Tak, w tej chwili muzyka etniczna, m.in. Massive Attack.

– **Twoi ulubieni artyści, twórcy?**

– Wybieram raczej dzieła niż nazwiska. Wcale nie muszą być znanych twórców.

– **Czy sama zmagasz się z techniczną stroną fotografii?**

– Korzystam z zaimprovizowanej ciemni w maleńkiej łazience domowej. To jednak bardzo ważne, żeby decydować o ostatecznym efekcie fotografii.

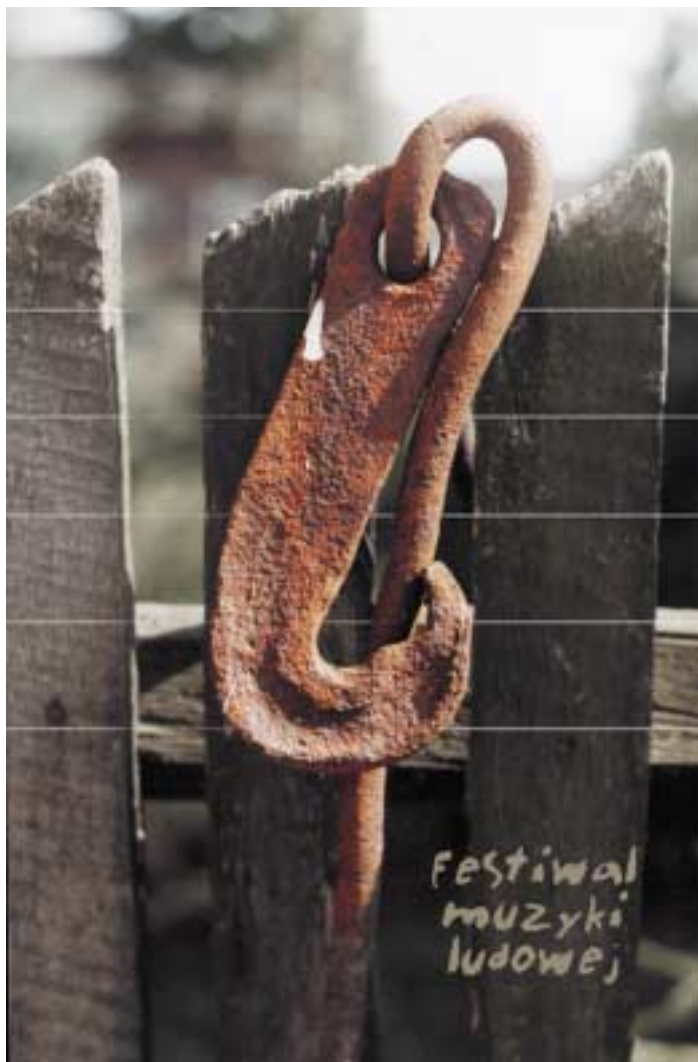
– **Co w przyszłości?**

– Poza tym, co niewiadome, chciałabym fotografować i móc zajmować się projektowaniem.

– **Zacząłbyś zupełnie wyjątkowo, oby dalej też ci się tak wiodło.**

Od października Agnieszka będzie studentką Instytutu Plastyki WSP w Częstochowie.

Janusz Mielczarek



Plakat Agnieszki Parkitnej

Muzeum Częstochowskie znalazło się w gronie laureatów Konkursu na Wydarzenie Muzealne Roku – Sybilla 2002. Podsumowanie tego konkursu Ministerstwa Kultury miało miejsce 18 maja 2003 roku w Sali Wielkiej Zamku Królewskiego w Warszawie. Nagrodzone wydarzenie (III nagroda) – to właśnie „Z dawna Polski Tyś Królową. Pamiątka z pielgrzymki do Jasnej Góry”, wystawa przygotowana przez Reginę Rok i Aleksandra Jaśkiewicza. Duża ekspozycja tego samego autorstwa „Sztuka dewocyjna Częstochowy” miała już miejsce w roku 1991 w Galerii Malarstwa Muzeum Częstochowskiego (kamieniczka w III Alei NMP). Wcześniej wystawę o podobnym charakterze zorganizowano w Muzeum Częstochowskim w roku 1946.

Wystawa wędruje, spotyka się z zainteresowaniem. Pokazana w częstochowskim ratuszu w ubiegłym roku, później była przeniesiona do Wielunia. 3 maja odbył się jej wernisaż w Muzeum Górnośląskim w Bytomiu. Przygotowano tam interesującą aranżację: pracownię częstochowskiego malarza – według Adriana Głębockiego, z obrazami Matki Bożej Częstochowskiej i podjasnogórski stragan. Ostatnia prezentacja odbyła się w Muzeum Regionalnym w Radomsku.

Ekspozaty zebrane w Muzeum Częstochowskim są skromnym ilościowo wyborem tego, co w ogromnych ilościach było tworzone, produkowane w związku z ludową pobożnością, czerpiącą siłę z jasnogórskiego sanktuarium. A jednak nasuwa się uparcie myśl: jakże słabo wypada nasza współczesna wytwórczość tego rodzaju z podjasnogórskich kramów i sklepików! Słabo, gdy chodzi o jakość, o wartość artystyczną, nie ilość! Gdy się czyta opowieści o walce, jaką cechowi artyści i rzemieślnicy oraz jasnogórcy paulini toczyli z „partaczami” oferującymi tandetę po konkurencyjnych cenach: obrazy malowane na papierze, tańszą techniką wodną – chciałoby się westchnąć: „Mój Boże!” Ówczesni paulini mieli za złe domorośłym twórcom, że nie oddawali wiernie jasnogórskiego wizerunku – a tymczasem te lekceważone interpretacje Obrazu, ozdobione malowanymi bukietami, motywami kwiatów – są po prostu piękne. Dla mnie to prawdziwe odkrycie.

Co prawda może niegdysiejsi paulini mieli swoje racje i nie był to tylko przejaw ich konserwatywnego gustu, skoro już w osiemnastym wieku – zatroskani, iż twarze ze świętego obrazu w popularnym wykonaniu przypominały bardziej „jakoweś monstra” – występowali do wła-

dzy świeckiej o uporządkowanie tej dziedziny. Okazuje się, że zatroskanie poziomem podjasnogórskiej twórczości nie jest niczym nowym.

Swoją drogą może tak się złożyło, że na obecną wystawę trafiły najlepsze przykłady tej sztuki. Zachowały się bowiem bardzo nieliczne z owej olbrzymiej produkcji. Każdy pielgrzym uważał za swój obowiązek przynieść do domu święty obraz – ale ten, gdy się podniszczył, był obowiązkowo palony. Jako świętość nie mógł się poniewierać po zakamarkach. Ów zwyczaj trwał na wsi długo. Aleksander Jaśkiewicz wspomina, jak kiedyś bezskutecznie usiłował przekonać właścicieli takich, niepotrzebnych już im, świętych obrazów, aby je przekazali do muzeum. W każdym razie obrazy pokazane na wystawie świadczą jak najlepiej o poziomie tamtej wytwórczości. Podobnie zresztą jak te tworzone przez artystów cechowych: poważniejsze, dostojniejsze, bardziej ozdobne, solidnie wykonane, czasem całe domowe ołtarzyki, kopie jasnogórskiego obrazu w bogatych ramach.

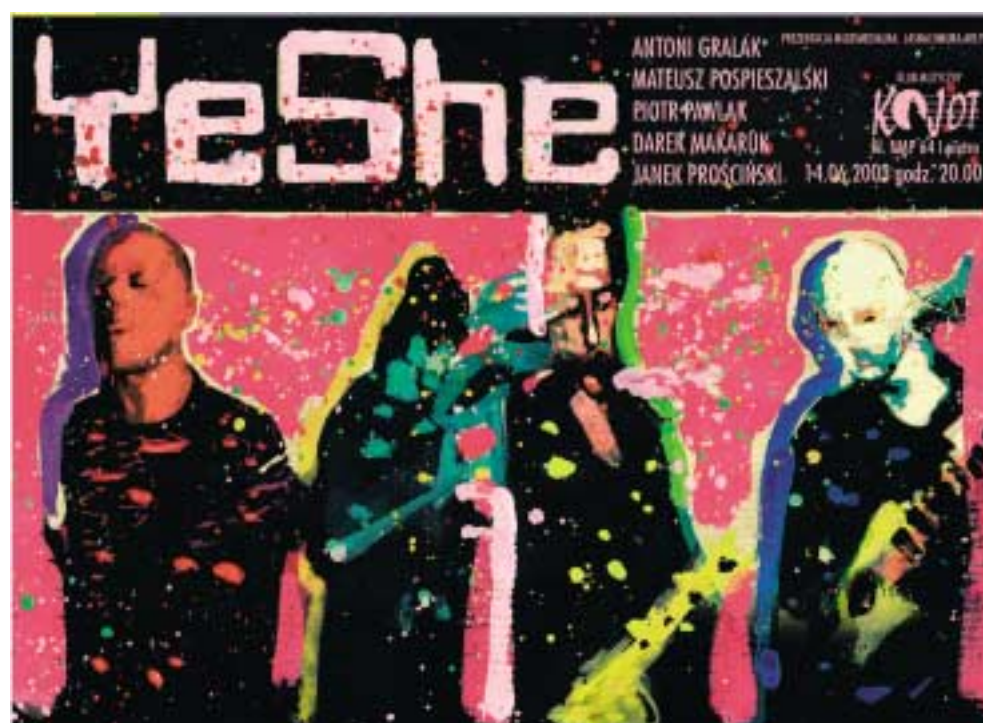
Na wystawie zgromadzono nie tylko malarstwo. Przeróżne dewocjalia, słynne medaliki, całe bogactwo form, wzorów. Zwłaszcza Muzeum Częstochowskie powinno się specjalizować w gromadzeniu tych interesujących zażytków. I znów – porównajmy z tym, co obecnie pielgrzym może nabyć. Wśród drogiej obrazów zdarzają się czasem i rzetelne kopie. Jednak zmiany kulturowe odzwierciedlające się w ofercie sklepików i straganów nie wychodzą jej na dobre. Ciekawe, co by powiedzieli na to dawni paulini. Wspomnę tylko jedno: zniknęły już charakterystyczne, panujące długo na tym rynku obrazy „trzy w jednym”. (Na tle jednego wizerunku umieszczano prostopadle pocięte na paski dwa inne, wskutek czego, zależnie od kąta patrzenia, widziało się na przykład Serce Jezusa, Matkę Boską i jakiegoś świętego.) Natomiast parę lat temu pojawił się w sprzedaży zakrawający niemal na bluźnierstwo wizerunek Jezusa na krzyżu mrugającego – otwiera i zamyka oczy, zależnie od tego, z której strony się nań patrzy. Możemy zrobić sobie zdjęcie na tle dużej planszy z widokiem Jasnej Góry. Takimi planszami jeszcze nie tak dawno posługiwali się fotografowie na placu pod klasztorem. Wystarczyło stanąć z tyłu ekranu, włożyć głowę w specjalnie wykonany w nim otwór – i pamiątkowe zdjęcie gotowe. Może by tak wrócić do tych zwyczajów? Tak jak i do portretowych profilów z czarnego papieru, które starszy pan wycinał błyskawicznie i z talentem.

Władysław Ratusiński



„Piekło – Pieśń 28”, „Bertan de Born” – drzeworyt Salvadora Dali prezentowany na wystawie w Muzeum Częstochowskim (Ratusz) – sierpień 2003 r. Wszystkie zamieszczone w niniejszym n-rze reprodukcje dzieł S. Dali publikujemy dzięki uprzejmości Pana Jakuba Lepy.

str. 1 fot. Piotr Dłubak: Agata Ochota-Hutyra (Julia) i Marek Śłosarski (Jean) – „Panna Julia” Augusta Strindberga w reżyserii Katarzyny Deszcz. Teatr im. Adama Mickiewicza w Częstochowie.



Plakaty Szymona Parafiniaka
z wystawy „Rytmy Częstochowskie”
Galeria Ośrodka Promocji Kultury „Gaude
Mater” – sierpień/wrzesień 2003